MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK IX. Nr 16 WARSZAWA, 21 KWIETNIA 1929 R. CENA NUMERU 80 gr.

ZAŁAMANIE WEWNĘTRZNE

PRZESILENIE w rządzie, które ostatecznie oddało ster nawy państwowej w ręce najściślejszej grupy t. zw. „sanatorów", było drobnym epizodem przesilenia ogólniejszego w państwie, trwającego już trzy lata. Jest to grupa ludzi, która faktycznie odgrywała przez te trzy lata dużą rolę i dała się już poznać. Poznaliśmy ich jako ludzi, mających za zadanie eksperymentowanie na Polsce, czy da się w niej urządzić w ten sposób życie państwowe, aby w niem nie brał działu kierowniczego żywioł narodowy, to znaczy, ten obóz, który w poczuciu własnem i innych wyraża i firmuje myśl historyczną Polaków, jako gospodarzy państwa i polskiej cywilizacji, czy da się wyzuć Polskę z pierwiastka nacjonalistycznego i urządzić ją na zasadach etniczno-statystycznych. Żeby tę wielką reformę przeprowadzić, trzeba mieć czas i wolną od „uroszczeń" nacjonalizmu polskiego rękę. Na to potrzebną jest dyktatura, którą zresztą motywować można rozmaicie, choćby względami na potrzebę przerobienia typu człowieka w Polsce, na potrzebę sanacji moralnej.

Ten rodzaj reformy, ze względu na dobór ludzi i sposoby, jakiemi się brali do rzeczy, nie bardzo był dotąd zrozumiały. Niejasności było dużo, ale godził z niemi jako tako wszystko rozcinający wyraz: dyktatura. Cała impreza streszczała się w znaku człowieka. Polakom, spragnionym życia, tak zależy na treści, że nie robiono dramatu z faktu dokonanego. Historja zna i takie sposoby wyjścia. Wyjątkowa moc jednostki może czasami stworzyć z siebie rodzaj ekwiwalentu tego wysiłku zbiorowego, który naród normalnie wykonywa przy pomocy parlamentu, wolnej prasy, zebrań, aby wyprowadzić na jaw wolę swoją. Zrobi to człowiek jeden. W tym wypadku, nas dzisiaj aktualnie interusującym, patrzeć musimy na rząd, jako na emanację woli dyktatora, jako na ludzi pracujących na jego rachunek. Dlatego skład osobisty rządu nie budzi w kołach narodowych zbytniego zainteresowania. To jest jednak faktem, że im mniej waży skład personalny rządu, tem większą odpowiedzialnością naród obarcza dyktatora i jemu się przypatruje.

W analizę tej strony faktycznej wchodzić nie chcemy, interesuje nas kwestja od frontu narodowego. Jakakolwiek byłaby forma, żaden rząd nie może kwestjonować, że treścią żywą państwa jest naród i żadnemu nie może zależeć na tem, aby ten naród źle się czuł moralnie. Tymczasem z walki na tym odcinku, na którym żywe siły narodu stykają się z rządem, z odcinka parlamentu (który z woli dyktatora nie przestał istnieć) — widać, że sanacja w ciałach prawodawczych widzi reprezentanta narodu, który przeszkadza jej planom i jako takiego usiłuje zabić moralnie.

W walce z parlamentem, która na gruncie prawa toczy się ze zmiennem powodzeniem, padają pociski, mające go unicestwić moralnie, ale każdy rozumie, że sięgają one dalej, bo w naród. Mówi się, że Sejm jest zbiorowiskiem małp, dlatego że się przedtem rzuciło pocisk, jakoby naród był zbiorowiskiem idjotów. Doszło do tego, że marszałek Sejmu Daszyński musi występować w liście otwartym (13 kwietnia) nie tylko w obronie Sejmu, ale także w obronie narodu. Marszałek Daszyński wstawia się za narodem polskim, prosząc o względy dla niego. Ma on — według niego — wady, ale jest łagodny, cierpliwy, posłuszny, dawał prawdziwych sędziów przysięgłych, „dużo ma idealizmu i łatwy jest do rządzenia". Przeto „kopanie, bicie, lżenie codzienne, poniżanie i upokarzanie obywateli nie mogą być dobrą metodą rządzenia".

Socjalista Daszyński zna psychologję swoich ludzi, dawnych przyjaciół. On wie, że oni walcząc z parlamentem, mają na myśli naród. Istotnie bardzo zastanawiające jest to, że im więcej wymyślań i łajań wprost sypie się na Sejm, tem mniej można zrozu-

mieć, o co chodzi. Bo przecież Sejm w Polsce nie jest gorszy niż gdzieindziej. Ostatnia np. sesja była bardzo poprawna, wiele wiedzy i talentu politycznego ujawniła wśród posłów. Poza śmieszną kreacją BB. nie było w żadnej grupie nic tak karykaturalnego, coby zasłużyło na cząstkę tych epitetów, któremi Sejm obrzucono.

Ta przesadna, nie proporcjonalna do rzeczywistego stanu rzeczy pasja, z jaką „sanacja" traktuje parlament, tłumaczy się psychologicznie tem, że opanowani nią są ludzie, którzy w duszy mieli wszczepioną od dzieciństwa wiarę w parlamentaryzm, jako jedyny sposób wyrażania woli ludu i ograniczenia *dominium absolutum*. Teraz gdy chodzi o odjęcie masom tego środka, przechodzą w duszy drogą powrotną reakcję tego samego natężenia, co dawna wiara. Wszystko to się odbywa w warunkach pierwotnej psychiki i pierwotnej obyczajowości, ale — na miły Bóg — nie można na chwilę stawać na gruncie prawowitości takiej djalektyki między kimś a narodem. Obrona, podjęta przez marszałka Daszyńskiego jest równie upokarzająca naród, jak obelgi, które go spotykają. Jakżeż to: naród ma się usprawiedliwiać z tego, że jest? Naród jest, jaki jest. Przedstawia wartość stałą, bezwzględną dla polityki, punkt wyjścia dla każdych poczynań. Od tego poczyna się sztuka rządzenia, że się staje na gruncie działania z takim narodem jaki jest, że go się zna, że się odpowiednie do jego psychiki środki obiera, a kto nie wie, co począć z narodem, ten nie jest do rządzenia kompetentny.

Stosunek do narodu tak nierealny, że nie dający się wyrazić w jawnym programie, dławiący się z jakiejś nieuporządkowanej wewnętrznie złości, staje się przyczyną przesilenia moralnego, które jest ze wszystkich w polityce najgłębsze. Poprostu samo życie ustaje, działanie staje się bezprzedmiotowem, jeśli zaczynamy od kwestjonowania narodowi kompetencji tworzenia dziejów. Po wszystkie czasy wszystkie formy współdziałania w państwie trzymały się siłą ciążenia do środka narodu zarówno obywateli, jak i rządzących. Dzisiaj tembardziej nie można tak odwracać sporów kompetencyjnych. Niepodobna wprowadzać na długo tej fałszywej nuty, że garść obywateli, która ma rządy w ręku, niezadowolona jest z narodu. Źródłem władzy jest naród, a pierwszym warunkiem kompetencji rządzących jest operowanie umiejętne tym stosunkiem, jako faktem, danym z natury rzeczy.

Naród dotąd dobiera sobie ludzi rządzących, aż trafi na takich, którzy go rozumieją i umieją z nim współżyć. Gdy ten stosunek jest nienormalny, wtedy zachodzi przesilenie. Niepodobna na stałe forsować zasady, że naród musi być dostosowywany do rządu, bo w tym kierunku niema wyboru; stosunek jest właśnie odwrotny.

Naród może tolerancyjnie znosić próby, dokonywane przez jednostki, ale ma prawo wymagać, aby społeczeństwo nie przenosiło dyskusji na teren ubliżający godności narodu. Chyba już dość tak niepoważnych rozpraw na temat priorytetu powagi osób przed powagą narodu. Sądów niepowołanych nad narodem z prokuratorami i adwokatami żadne cywilizowane społeczeństwo nie znosiłoby tak spokojnie.

Eksperyment zrobiony. Z dyskusji publicznej, którą jego twórcy przeprowadzili teraz w pogardzonej prasie (Piłsudski, Bartel, Daszyński) i w pogardzonym Sejmie (Czechowicz) widać ponad wszelką wątpliwość, że się nie udał. Załamanie nastąpiło z powodów wewnętrznej sprzeczności między patrjotyzmem a doktryną o państwie, jako mechanizmie ponadnarodowym, którym można „wierną rzekę" w górę dziejów nawracać.

Na gniew, sofisterję, sztuki magiczno-sanacyjne naród patrzy ze spokojem, bo życie jest silniejsze od zachcianek, a żądza władzy nie jest siłą twórczą.

ZYGMUNT WASILEWSKI

POLSKIE PRAWO BUDŻETOWE

PRELIMINARZ budżetu na rok 1927/28, uchwalony przez Sejm i Senat, przewidywał w wydatkach 1,991 miljonów złotych. W rzeczywistości wydano 2,554 milj. złotych. Budżet, uchwalony ostatnio przez Sejm i Senat na r. 1929/30, określa wydatki na 2,945 milj. Nie wątpię, że je rząd wyda.

Rok 1927/28 dał nam przekroczenie budżetowe na ogólną sumę 563 milj. zł. Rok 1928/29 zamknie się, jak już w przybliżeniu wiemy, również przekroczeniem przyznanej przez ustawę sumy wydatków o jakieś 250 milj. zł.

Powyższe suche cyfry wskazują na stałą tendencję obecnych rządów do corocznego podnoszenia wydatków państwowych. Niestety, także większość Sejmu nie miała dość moralnej siły, aby się oprzeć propozycjom rządu, który, ustalając cyfry przyznanych i przekroczonych kredytów razem, domaga się, aby w następnym roku budżetowym punktem wyjścia do ułożenia preliminarza budżetu była łączna suma przyznanych i nie przyznanych wydatków roku poprzedniego. Wnioski oszczędnościowe Klubu Narodowego upadły. Przy powyższej metodzie rząd, w zgodzie z większością obecnego Sejmu B. B. i lewicy, uczynił w ciągu dwu zaledwie lat krok olbrzymi: w r. 1927/28 przyznany przez Sejm i Senat kredyt wynosił 1991 milj. zł., w r. 1929/30 — 2,945 milj. zł. Roczne wydatki podnoszą się tedy w zgodzie z reprezentacją narodową o 954 milj. zł. Postęp to szybki, wprost olbrzymi.

Owe o 954 milj. powiększone wydatki państwa nie obejmują wykazu wszystkich w ciągu dwu lat powiększonych wydatków. Dla przykładu tylko przypomnę, że dwa największe przedsiębiorstwa państwowe, kolej i poczta, są z budżetu administracyjnego państwa wydzielone i na ogólnym budżecie figurują tylko z drobną sumą dochodu czystego. A wiadomo, że wydatki obu tych przedsiębiorstw poszły poważnie w górę. Pozatem wbrew nakazom teorji prawa budżetowego nie wszystkie zarówno wpływy, jak i wydatki są uwidocznione w budżecie. Tworzy się z rozmaitych wpływów specjalne fundusze, na pół dyspo-

zycyjne, i operuje się niemi poza kontrolą publiczno-parlamentarną.

Według obliczeń Departamentu samorządowego w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, samorządy miejskie podniosły swe wydatki w ciągu poprzedniego roku o 126 milj. zł.

Wedle obliczeń „Przemysłu i handlu" większe ubezpieczenia społeczne w ciągu trzech lat ostatnich powiększyły swoje rezerwy, po pokryciu bieżących wydatków, o poważną sumę 411 milj zł.

Wszystkie to wzrastające tak szybko potrzeby państwa, samorządu i ubezpieczeń społecznych pokrywa społeczeństwo. Wzrost tych wydatków jest tak uderzający, że—wszędzie odczuwa się przeciążenie podatkowe, że coraz tłumniej rozlegają się głosy protestu, żądania poddania rewizji tej polityki, kontroli celowości i legalności wydatków i t. d.

Na tem tle łatwo będzie zrozumieć popularność, z jaką u ogółu społeczeństwa, we wszystkich warstwach spotkała się inicjatywa Sejmu, aby ministra skarbu w gabinetach pp. Bartla i Piłsudskiego, p. Gabrjela Czechowicza, pociągnąć do odpowiedzialności przed Trybunałem Stanu za olbrzymie a nielegalne przekroczenie dozwolonych ustawą skarbową na r. 1927/28 wydatków.

I

Pociągnięcie czynnego ministra jakiegokolwiek rządu do konstytucyjnej odpowiedzialności jest w Europie prawie unikatem. Dzięki ogólnemu zainteresowaniu, jakie pociągnięcie ministra skarbu, G. Czechowicza, przed Trybunał Stanu wywołało, społeczeństwo polskie wciągnięte zostało w obszerną, bardzo pożyteczną dyskusję na temat preliminarza wydatków i dochodów państwa.

Polska nie ma dotąd pisanego prawa, które nosi normalnie nazwę: „Prawo budżetowe". Powoływali się na to niemal, broniąc min. Czechowicza, zwolennicy obecnego rządu, ale i oni nie śmieli wyciągnąć wniosku, iż wobec tego „wolno w Polsce, jak kto chce". Tak źle w Polsce nie jest. Mamy i w Polsce całą literaturę naukową, poświęconą skarbowości, mamy parę gotowych projektów „prawa budżetowego"; mamy w Konstytucji naszej z lat 1921 i 1926 i w poszczególnych ustawach skarbowych cały szereg podstowowych postanowień ustawowych; mamy dość wiele wyrobionych już i uznanych zwyczajów, mogących z powodzeniem zastąpić pisane prawo, a wszystko to razem wzięte stanowi całość wcale poważną.

Prof. Adam Krzyżanowski, ten sam, który w Sejmie bronił ministra Czechowicza przed pociągnięciem go przed Trybunał Stanu, napisał książkę pod tytułem: „Nauka skarbowości", a w niej, a także i w wykładach, głoszonych z katedry skarbowości, o prawie skarbowem, o prawie budżetowem mówił bardzo dużo i wymownie i—zawsze wzywał do praworządności i oszczędności. Na ten również temat pisał w „Nauce skarbowości" i ostatnio w swojej dwutomowej „Ekonomice Narodowej" prof. dr. Stanisław Głąbiński, z dawniejszych: dr. Leon Biliński i Józef Milewski. Obok nich dziesiątki innych. Polskie Ministerjum Skarbu od roku bodaj 1923 pracowało nad zebraniem materjału do projektu „prawa budżetowego". Pracom tym przewodniczył ówczesny podsekretarz stanu, Bolesław Markowski, a brał w nich udział ostatni kierownik Ministerstwa Skarbu, dr. Tadeusz Grodyński, i ówczesny urzędnik Departamentu budżetowego a dziś członek Trybunału administracyjnego dr. A. Dubieński. Nakładem Ministerstwa Skarbu wyszedł szereg dzieł, częściowo tłumaczeń z języków obcych, a wśród nich dużej wartości „Budżet i rachunkowość publiczna", Niemca, Ottona Schwarza.

Pierwszy z trzech tomów „Sprawozdania oraz zalecenia Komisji doradców finansowych pod przewodnictwem prof. E. W. Kemmerera" poświęcony jest w całości budżetowi, rachunkowości państwowej i podatkom. Prof. Kemmerer poszedł tak daleko, iż przedłożył polskiemu rządowi zupełnie gotowy projekt „prawa budżetowego" ujęty w 58 paragrafów.

Na ten temat, ujmując go tylko od strony kontroli wydatków, pisał pierwszy prezes Najwyższej Izby Kontroli Państwa, niezapomniany ś. p. Jan Żarnowski („Organizacja Kontroli Państwowej we Francji, Belgji, Włoszech, Czechosłowacji, Austrji, Niemczech, Rosji i Polsce"), pisali Stanisław Sasorski, generał-kontroler E. Chappuis (Francuz) i inni. Kto więc interesował się tem zagadnieniem, kto chciał zaznajomić się z systemem prawa budżetowego i organizacją kontroli zagranicą, aby potem dobre zwyczaje obce zastosować także u nas, ten miał i dość materjału i dość czasu, by się z tem zagadnieniem gruntownie zapoznać i rozprawić.

Całych 10 lat niepodległości naszej nie spędziliśmy bezczynnie na puszczy.

II

Zasadnicze postanowienia budżetowe zawiera obowiązująca Konstytucja z 17 marca 1921 r., uzupełniona 2 sierpnia 1926 r. Zaraz w pierwszych artykułach zawiera Konstytucja marcowa takie postanowienia:

Artykuł 4.

Ustawa państwowa ustala corocznie budżet Państwa na następny rok budżetowy.

Artykuł 6.

Zaciągnięcie pożyczki państwowej, zbycie, zamiana, i obciążenie nieruchomego majątku państwowego, nałożenie podatków i opłat publicznych, ustanowienie ceł i monopoli, ustalenie systemu monetarnego, jakoteż przyjęcie gwarancji finansowej przez Państwo—może nastąpić tylko na mocy ustawy.

Artykuł 7.

Rząd przedstawi corocznie zamknięcie rachunków państwowych do parlamentarnego zatwierdzenia.

Artykuł 9.

Do kontroli całej administracji państwowej pod względem finansowym, badania zamknięć rachunków Państwa, przedstawiania corocznie Sejmowi wniosku o udzielenie lub odmówienie Rządowi absolutorjum jest powołana Najwyższa Izba Kontroli.

Artykuł 10.

Prawo inicjatywy ustawodawczej przysługuje Rządowi i Sejmowi. Wnioski i projekty ustaw, pociągające za sobą wydatki ze Skarbu Państwa, muszą podawać sposób ich zużycia i pokrycia.

Artykuł 25.

Rząd składa Sejmowi na sesji projekt budżetu wraz z załącznikami (art. 4) nie później, jak na 5 miesięcy przed rozpoczęciem następnego roku budżetowego.

Sejm ma 3½ miesiąca czasu na rozpatrzenie przedłożenia rządowego, Senat 30 dni na zbadanie uchwał Sejmu i znowu Sejm 15 dni na rozpatrzenie poprawek Senatu—poczem artykuł 25 tak dalej postanawia:

Prezydent Rzeczypospolitej ogłasza budżet jako ustawę w brzmieniu:

a) przyjętem przez uchwałę Sejmu, jeżeli Sejm i Senat budżet w ustalonych terminach rozpatrzyły i Sejm bądź przyjął bądź odrzucił poprawki Senatu;

b) przyjętem przez Sejm albo przez Senat, jeżeli tylko Sejm, względnie Senat uchwalił budżet w oznaczonym terminie;

c) projektu rządowego, jeżeli ani Sejm ani Senat w oznaczonych terminach uchwał co do całości budżetu nie powzięły.

Jeżeli Sejm jest rozwiązany a budżet na dany rok budżetowy lub przynajmniej prowizorjum budżetowe na czas aż do zebrania się nowego Sejmu nie są uchwalone, Rząd ma prawo czynić wydatki i pobierać dochody w granicach zeszłorocznego budżetu, aż do uchwalenia przez Sejm i Senat prowizorjum budżetowego, które Rząd obowiązany jest złożyć Sejmowi na pierwszem posiedzeniu po wyborach.

Artykuł 44.

Prezydent Rzeczypospolitej ma prawo w czasie, gdy Sejm i Senat są rozwiązane, aż do chwili ponownego zebrania się Sejmu (art. 25), wydawać w razie nagłej konieczności państwowej rozporządzenia z mocą ustawy w zakresie ustawodawstwa państwowego. Rozporządzenia te nie mogą jednak dotyczyć zmiany Konstytucji i spraw przewidzianych w art. 3 ust. 4; art. 4, 5, 6, 8, 49 ust. 2, 50 i 59 ustawy Konstytucyjnej ani też ordynacji wyborczej do Sejmu i Senatu.

(A więc art. 4 i 6—budżetowe i podatkowe—nie mogą być wyczerpywane rozporządzeniem władz wykonawczych).

Artykuł 56.

Rada Ministrów ponosi solidarną odpowiedzialność konstytucyjną i parlamentarną za ogólny kierunek działalności Rządu.

Pozatem ponoszą ją ministrowie oddzielnie, każdy w swoim zakresie, za działalność w urzędzie, a to zarówno za zgodność tej działalności z Konstytucją i innemi ustawami Państwa, za działalność podległych im organów, jak i za kierunek swej polityki.

Powyżej zacytowane wyjątki z Konstytucji polskiej stanowią jasno, iż budżet jest ustawą; iż ustawy tej inną drogą aniżeli przez Parlament polski, przeprowadzić nie można, iż poza budżetem niema prawnie dozwolonych wydatków państwowych. Konstytucje państw innych naogół mają mniej, niż my, tego rodzaju przepisów.

(Dok. nast.) STANISŁAW RYMAR

KRYTYCYZM W KRYTYCE LITERACKIEJ

(Dokończenie)

II

UWAGI, zamieszczone w pierwszej części niniejszego artykułu, nasunęły mi się przy czytaniu książki p. t. „Poza Wieszczbiarstwem i Pedanterją" (Poznań, Fiszer i Majewski, 1929 r. str. 180), ktorej autorem jest jeden z młodszych krytyków, Jan Emil Skiwski.

W książce tej zostały zebrane szkice krytyczne, ogłaszane przez autora w „Myśli Narodowej" [1]), gdzie nie uszły one najpewniej uwagi naszych czytelników; uwalnia mnie to od szczegółowego ich omawiania, zwrócę więc tutaj uwagę jedynie na to, co w nich jest, według mego zdania, wyrazem wybitnego krytycyzmu ich autora.

Zaznacza się on od początku książki, w przedmowie i w szkicu „O krytyce naukowej i profetycznej", gdzie autor wypowiada wojnę „zaściankowości, pedanterji i manji wieszczbiarstwa", jako zaporom stojącym na drodze pełnemu rozwojowi myśli krytycznej w Polsce.

Chodzi tu właściwie o dwa kierunki naszej krytyki literackiej: „naukowy", badawczy i propagandowy — jak autor powiada — entuzjastyczny, wieszczbiarski. Pierwszemu zarzuca pedanterję, trzymanie się przesadne faktu zewnętrznego w traktowaniu zjawisk literackich, niedocieranie do „praw i związków wewnętrznych twórczości pisarskiej", drugiemu — tak samo, że nie przenika do wnętrza dzieł umysłu i serca ludzkiego, ale tu dlatego, iż „głębi" szuka się w wyrażaniu swych myśli nie bezpośrednio, lecz w pretensjonalnym żargonie emocyj filozoficznych, nie mówi się, co się o danej rzeczy myśli, lecz jakich doznaje się wzruszeń, myśląc o niej. Jak można z rozwoju dalszego tych zarzutów wywnioskować, obydwa powyższe kierunki krytyki naszej grzeszą brakiem zmysłu psychologicznego, wogóle z psychologją są w niezgodzie: pierwszy obywa się bez niej, drugi stosuje fałszywą, albo zastępuje ją sztucznym patosem.

Uwagi oraz spostrzeżenia autora w tej mierze są naogół trafne, ale tej chęci nagięcia wszystkiego i wszystkich do psychologji ośmielam się cokolwiek przeciwstawić. Nasampierw dlatego, że nie każdy jest powołany do psychologicznego badania twórczości literackiej.

Sam autor jaknajsłuszniej powiada, że aby zorjentować w tym lesie zagadek, którym jest każda twórczość, wyśledzić wszystkie podstępy człowieka walczącego o światopogląd, trzeba mieć trochę „klinicznego oka, pomysłowości, domyślności" — i to nietylko wówczas, gdy się dociera do duszy ludzkiej poprzez znaczenie wypowiedzianych słów i zdań, lecz gdy się zagląda do niej wprost, drogami odczucia, intuicji, przeniknięcia tam, gdzie wzrok nie sięga. Nie każdy jest obdarzony darem tego rodzaju wnikania i trafnego odtwarzania sprężyn, wprawiających w ruch mechanizm wewnętrzny jednostki twórczej, nie każdy potrafi przyłapać ją na gorącym uczynku tych lub innych podstępów i wybiegów, oszukiwania siebie samej i udawania przed światem, a to wszystko z powodu wywalczania sobie prawa do życia w nim, ustalania stosunku do niego.

Kto tego daru — tego „oka klinicznego", czy domyślności oraz poznania bezpośredniego nie posiada, temu nie wiele pomoże wiedza psychologiczna i ta lub inna oficjalnie uznana metoda badania psychologicznego. Wiedza może być rozległa, metoda niezła—

[1]) Ze szkiców krytycznych J. E. Skiwskiego jeden tylko nie był drukowany w „Myśli Narodowej", mianowicie poświęcony charakterystyce Z. Wasilewskiego.

a w wyniku będzie właśnie pedantyzm, albo, co gorsza, parodja, karykatura twórcy i jego twórczości.

Czy autor niezna w piśmiennictwie naszem tego rodzaju wielotomowych „zarysów biograficzno-psychologicznych", które są stekiem nonsensów i fałszywych świadectw o przedmiocie badanym?..

Przenikanie do wnętrza dzieł umysłu i serca ludzkiego, jest przywilejem bardzo wyjątkowych badaczy, a sposoby ich badania—metodą w części tylko dostępną wszystkim, w znacznej jednak mierze ich własnością indywidualną.

Nauka docierania do praw i związków wewnętrznych twórczości pisarskiej jest bardzo niepewna jeszcze, bardzo zmienna i dlatego dotychczas nie mamy krytyki naukowej i nie wiadomo, kiedy ją mieć będziemy.

Wysiłek w kierunku dotarcia do tych „praw i związków" jest niewątpliwie pożądany w krytyce literackiej, urzędowy wszakże, obowiązkowy psychologizm nie jest tu rękojmią, że wysiłki jego nie będą nacechowane „zaściankowością, pedanterją i — szablonowem, pustem — wieszczbiarstwem". Od tego prędzej uchroni szczypta zdrowego sensu, mocne poczucie rzeczywistości, zdolność do tego, co Francuzi nazywają „*discernement*" t. j. zdolność subtelnego oddzielania prawdy od fałszu, wyłuskiwania ziarna z plew, a także nie uleganie autosuggestjom i podnietom entuzjazmu jednostronnego. A to wszystko jest tylko rzetelnym k r y t y c y z m e m.

Wyróżnia się nim np. szkic autora p. t. „Żeromski — Pisarz i apostoł", który, wskutek tego, prawdziwie odbiega daleko od entuzjastycznych i bezkrytycznych rozpraw i rozprawek o twórcy „Wiernej Rzeki", jakich niemało powstało po jego zgonie.

Krytyk wykazuje tu, że Żeromski, będący dla „inteligenta" polskiego: wielkim artystą, myślicielem, wieszczem, — jest artystą znakomitym, wprawdzie na niedużym odcinku twórczości, myślicielem i wieszczem wszakże nie jest, natomiast jest wyrazicielem tego wszystkiego, co w inteligencie polskim jest najsłabsze, życiowo upośledzone i bezpłodne.

Udowadnia to wszystko, w toku rozprawy swojej, poddając przenikliwej, analizie stosunek Żeromskiego do życia i psychologję jego reprezentatywnych postaci, i jego apostolstwo społeczne, i rodzaj artyzmu etc...

Dość tego, by bezwzględnych entuzjastów, jeśli nie zupełnie przekonać to przynajmniej powściągnąć nieco w ich zapale utrzymywania kultu Żeromskiego jako myśliciela natchnionego, reformatora społecznego, wielkiego psychologa i t. p.

Krytyk wykazuje, że Żeromski był przedewszystkiem wielkim lirykiem, wielkim artystą „gorzkich żalów" własnej, zbolałej duszy typowego „inteligenta" polskiego — odtwórcą znakomitym przyrody i człowieka, pojętego jako cząstka tej przyrody, zagłuszonego przez nią i pokonanego.

Tego rodzaju wszakże wielkość Żeromskiego entuzjastom nie wystarcza, chcą koniecznie, żeby w nim wszystko, od stóp do głowy, było jednakowo czczone i wielbione, dlatego oburza ich każdy głos rozsądku i krytyki w tym kierunku. Spotkał się już z tego powodu z cierpkim wyrzutem i autor najkrytyczniejszego niewątpliwie studjum o Żeromskim.

Dzióbnęła go już jakaś czuła dusza, zagniewana na niego, że nie chce uznać, jak ona, iż wszystko w ulubionym pisarzu jest doskonałością, że wątpi o nim jako o socjologu, i widzi błędy jego artyzmu.

Zamiast gniewać się, lepiej byłoby, żeby ta lub inna czuła istota, zasiadła do wykazania, z taką siłą argumentacji, jak to uczynił krytyk, że autor „Popiołów" jest wielkim myślicielem i wielkim artystą bez zarzutu. Wówczas może, ponieważ jest to bardzo trudne do udowodnienia, o ile nie używa się grzmiących i pustych frazesów zamiast rzeczowych dowodów i ścisłej argumentacji, taka, dotknięta w swych uczuciach, istota, mogłaby się przekonać, że przeholowała w swoim entuzjazmie i cokolwiek poddałaby rewizji swoje wyobrażenie o wszechwielkości umiłowanego twórcy.

U nas wszakże, gdzie najwięcej koteryjnego zacietrzewienia, najtrudniej o tego rodzaju rewizje.

Francuzi kochają i wielbią np. Balzac'a, zdają sobie jednakowoż dobrze sprawę—zwłaszcza literaci—z jego, aż nadto widocznych, błędów oraz chybionych wysiłków jego tytanicznego genjuszu. Rzeczoznawcy drwią tam sobie z tych zapóźnionych entuzjastów W. Hugo, którzy go nazywają „Patrjarchą Inteligencji", robią z niego wielkiego myśliciela (jak np. filozof Renouvier i t. p.), gdyż to wszystko nieodpowiada rzeczywistości, kochają natomiast w nim wielkiego liryka i niezrównanego epika „rzeczy widzianych" („*choses vues*"). Tam i gdzieindziej, wielbią i kochają sławnych twórców za to, co w istocie jest ich mocą twórczą i niezaprzeczoną wartością, nie doznają natomiast ekstazy uwielbienia wobec ich błędów i ułomności. U nas, w atmosferze kultu grupowego, kółkowego, wśród pomieszania pojęć i chaosu uczuciowo - intelektualnego, wielbi się, bez wyboru, wszystko: potęgę twórczą i słabiznę, a co więcej, ma się za złe innym, że z tem się nie godzą.

Pisał kiedyś Michelet do Dumas'a (ojca): „panie, kocham pana i wielbię dlatego, iż jesteś jedną z sił natury". Znakomity historyk zdawał sobie chyba sprawę z błędów historycznych i t. p. twórcy „Trzech Muszkieterów" — ale go podziwiał jako olbrzymią siłę żywiołową. Każdy niepospolity twórca jest taką siłą, nie dziw więc, że się ludzie entuzjazmują jej objawami; wiedzą jednakże o tem, że reprezentuje on nie samą siłę żywiołu, że działa w nim jeszcze co innego: refleksja, świadomość, że myśli on i rozumuje — i z tego właśnie musi się wytłumaczyć przed światem swoich wielbicieli:—czy ma to sens, czy przeniknęło głęboko rzeczywistość, czy dało w wyniku jakąś prawdę, czy zwiększyło nasze pojęcie o życiu?

Jeżeli okaże się, iż rezultat myślenia danej „siły natury" jest nieimponujący, ułomny, nieoryginalny, no to można ją nadal wielbić i nawet, jak kto chce, podziwiać z jej ułomnościami wszystkiemi, nie można jednakże żądać, ażeby ktoś inny, mniej skłonny do porywów bezkrytycznych, bił przed tem czołem i podziwiał wielkość.

Ale od czegóż jest krytyka nietyle profetyczna, ile propagandowa—fanatyczna! I tej przedewszystkiem naraził się krytyk, obnażając słabe strony twórczości Żeromskiego. Nie dobrze jest narażać się fanatykom, potrafią bowiem pamiętać to długo winowajcom i mścić się złośliwie, gorzej jest jednak rozminąć się z własnym krytycyzmem, gdyż to się mści na krytyku, odbierając mu swobodę ruchu myśli i szczerość przekonań.

Krytyk Żeromskiego wybrał świadomie pierwsze; podług mnie, nietylko postąpił zgodnie z powołaniem krytyka, lecz zrobił więcej dla chwały wielkiego liryka, niż jego bezkrytyczni entuzjaści, ich bowiem pochwały i pochlebstwa czas prędko rozwieje, jak wszystko, co wiotkie i pozbawione mocnej podstawy, jego natomiast ocena, dobrze uzasadniona, nauczy innych podziwu dla trwałych wartości w dziele znakomitego pisarza.

Wogóle zaś krytyk zasłużył się dobrze i względem naszego życia literackiego, zapuszczając głębiej lancet krytyczny w organizm twórczy Żeromskiego, zazna-

czone bowiem zboczenia i zakłócenia w jego czynnościach są faktem nader pouczającym i ostrzegawczym.

Ważne zagadnienia naszej twórczości są związane z eksperymentami, jakich na sobie—i wbrew nieraz naturze swojej, do czego sam się przyznawał — dokonywał Żeromski z widocznym uszczerbkiem dla swego artyzmu i z małym pożytkiem tych spraw życia naszego, któremi się on przejmował. Socjologiczną, życiową beznadziejność utopijnych pomysłów Żeromskiego, ich również artystyczną ułomność — wykazał krytyk w sposób odstręczający od podobnie bezpłodnego zużywania energji twórczej.

Jest jeszcze sporo do wyjaśnienia w twórczości Żeromskiego, sprawę tę jednak krytyk posunął bardzo naprzód, przekładając drogę innym.

Z powodu Żeromskiego można jeszcze w niejednej kwestji wszcząć dyskusję pożyteczną. Nie poruszano np. kwestji, do jakiego typu twórczego można go zaliczyć: czy jest on romansopisarzem we właściwem znaczeniu tego pojęcia, czy literatem-artystą? Gdy się dobrze zbada jego pomysły romansopisarskie, rodzaj wyobraźni, małą żywotność jego postaci, za któremi on wciąż sam stoi, manewrując ich namiętnościami, jak mu ze względów ubocznych na tem zależy; jego język, jego styl, nietyle zwrócony bezpośrednio do tego, co chce pokazać i opisać, ale raczej wywołujący za pomocą suggestji poczucie danego przedmiotu,—to może przekonamy się, że jego miejsce jest pośród artystów-prozaików (jak np. Barrès i w. in.), nie zaś wśród „urodzonych" romansopisarzów (Balzac, Reymont, G. de Maupassant i t. p.).

Takie i temu podobne zagadnienia, wiążące się z twórczością pisarza, który sprzęgnął się z życiem już paru pokoleń, należycie potraktowane nie jedno mogą zmienić w pojęciach naszych o nim, nie jeden fałszywy blask zgasić, nie jedną również istotną wartość żywiej uwydatnić.

Krytyka propagandowo - entuzjastyczna tego nie dokona—w tym czy w innym wypadku—ona bowiem nie posuwa badania naprzód, zadowalając się jedynem ujęciem przedmiotu, któremu hołduje; to zrobić może krytyka, której kręgosłupem jest bezwarunkowy krytycyzm.

Przyszłość tej krytyki u nas łączy się już z działalnością tego młodego jej przedstawiciela, którego książka zainteresować musi światłych miłośników literatury i któremu przytem życzyć należy, by koleje życia pozwoliły mu wytrwać na dobrze obranem stanowisku.*)

WŁADYSŁAW JABŁONOWSKI

*) Recenzja niniejsza napisana była po ukazaniu się książki p. Skiwskiego, fakt zaś umieszczenia jej dopiero w tej chwili nie ma żadnego związku z polemiką, która ostatnio prowadzona była przez p. Skiwskiego na łamach „Wiadomości Literackich". Robimy to zastrzeżenie w tym celu, aby nie dać jakiegokolwiek pozoru do przypuszczeń, jakobyśmy w ten sposób udzielali aprobaty stanowisku jego w tej polemice. — Red.

NOTATKI CAULINCOURTA

GEN. Caulincourt ks. Vicenzy,*) ambasador francuski w Petersburgu przez lat cztery, do r. 1811 był, jak wiadomo, jednym z najzaufańszych powierników Napoleona, mimo że nigdy nie krył się z własnem zdaniem, a może właśnie dlatego. Z nim to odbył cesarz podróż z Moskwy do Paryża w 1812 r. Caulincourt pozostawił obszerne pamiętniki, z których korzystał Thièrs i Vandal. Ale teraz dopiero, w sto lat przeszło po śmierci autora, ukazała się (w „*Rev. d. d. mondes*", 1928) w druku część ich najciekawsza dla historyka, bo notatki z rozmów, jakie prowadził z Napoleonem w czasie dwutygodniowej podróży. Mimo zmęczenia i zimna, spisywał Caulincourt, na licznych etapach, skwapliwie każde słowo Cesarza.

Napoleon poruszał wszystkie najważniejsze sprawy bieżącej polityki, a więc blokadę kontynentalną, wojnę hiszpańską, kampanję rosyjską, rozstrzelanie ks. Enghien etc. Dla nas najciekawsze są rozdziały o Polsce, o pobycie Napoleona w Warszawie.

Zanim przytoczymy najważniejsze z tych rozdziałów ustępy, przypatrzmy się, w jakich warunkach odbywał Napoleon ową słynną podróż do Paryża.

Już z końcem października 1812 r. postanowił Cesarz wrócić do Paryża i zwierzył się z tym zamiarem przed Caulincourtem, który jako wielki koniuszy należał wówczas do najbliższej świty. Ale w podróż wyruszył dopiero 5-go grudnia, łudząc się nadzieją zawarcia pokoju z Aleksandrem.

O godzinie dziesiątej wieczorem, wsiadł Napoleon do powozu, biorąc jako jedynego towarzysza podróży Caulincourta. Obok cesarskiego pojazdu jechał konno kapitan Wąsowicz, a przodem dwu masztalerzy i służący Roustan. Wyjechano ze Smorgoń, gdzie znajdowała się wówczas główna kwatera. O postanowieniu cesarskiem powrotu do Paryża nawet marszałkowie dowiedzieli się dopiero na trzy godziny przed wyjazdem. Za powozem cesarskim jechał drugi ekwipaż z marsz. Duroc'iem i z hr. Lobau. Mróz dochodził 20 st. Réaumura. Nazajutrz rankiem przybył Napoleon do przedmieścia Wilna, gdzie tej nocy odbywał się bal u ks. Bassana (Mareta) min. spr. zagr. „Podczas gdy jedni tańczyli, drudzy marzli i umierali".

Napoleon nie chciał wstąpić do Wilna, ale udał się tam Caulincourt i nabył dla wszystkich podróżnych futrzane buty, czem ich uratował od przemarznięcia, gdyż mróz dochodził czasem do 29 st. R.

Następnego dnia t. j. 7-go grudnia o piątej rano przybył Napoleon do Kowna. Mimo, że okryty futrami i mimo, że miał na nogach worek futrzany, drżał z zimna. Najokropniejsza droga była z Kowna do Marjampola, konie ślizgały się i upadały. Podróżni musieli wysiąść z powozu i podtrzymywać pojazd, aby się nie stoczył do przepaści.

Na szczęście na jednym z popasów udało się Caulincourtowi nabyć szczęśliwym trafem od polskiego senatora Wybickiego sanie kryte. Napoleon tak był uradowany tym nabytkiem, że kazał za nie zapłacić 10 tys. fr.

W ciągu całej podróży, Napoleon był prawie ciągle w doskonałym humorze, mimo zimna, niewygód i zmęczenia. Sanie były tak ciasne, że nie mógł się w nich zmieścić neseser podróżny Cesarza i nie można było nóg wyciągnąć.

Napoleon miał sen na zawołanie, ale Caulincourt nie zmrużył oka przez całą podróż.

*) Caulincourt ur. 1772 — umarł 1827.

NAPOLEON O POLSCE

„Cesarz, zauważył—pisze Caulincourt—że niepomyślny wynik kampanji rosyjskiej krzyżuje wszystkie jego zamiary. Dla spokoju Europy potrzebne jest państwo, któreby chroniło ją od naporu Północy, a któreby równocześnie hamowało ambicje innych mocarstw. Nieszczęścia Europy spowodowała słabość Burbonów, którzy dopuści do rozbioru Polski. Cesarz austrjacki i król pruski czują błąd, jaki popełniono. Jeżeli przystąpili do wojny z Rosją, to dlatego, że są najbardziej interesowani, aby powstała taka zapora od północy. Austrja spodziewa się rekompensat terytorjalnych, które byłyby dla niej rynkiem zbytu. Król pruski może ma nadzieję, że to państwo będzie pod jego berłem (!).“

— — — — — — — — — — — — — — — —

Cesaz powtarzał ciągle, że Austrja pragnie wskrzeszenia Polski, że wcale nie obstaje, aby zachować tę resztę Galicji, którą jeszcze posiada i że oddałaby ją chętnie za skawek Styrji. Ten więc układ można przeprowadzić każdej chwili. Teść cesarza naglił go o to w Dreznie i być może nawet, że umyślnie przybył, żeby tę sprawę załatwić. Ale Napoleon chciał się przedtem przekonać, jak się na to zapatrują Litwini (oczywiście Polacy, zamieszk. Litwę, przyp.) i zbadać osobiście, czy Polacy mogą stać się znowu narodem niepodległym i nim zostać. Dla tych to powodów, dodał Cesarz, jeszcze dotychczas nie wyzwolił Polaków zupełnie i wypadki obecne dowodzą, iż miał rację.

Wkrótce się przekona, czy są równie godni niepodpodległości, jako naród, tak jak są jej godni indywidualnie.

„Odpowiedziałem na to Cesarzowi, że brak jedności i zapału u Polaków pochodzi zapewne stąd, że ich zostawił w niepewności co do ich dalszego losu i że niema granic poświęcenia, jakiego od nich żąda, że biedne Księstwo od dawna wszystkiego dostarcza i jest wyczerpane; że najbogatsi nie mają grosza dochodu... Dodałem, że gdyby Cesarz kierował się istotnie myślą spokoju Europy, dawnoby zaspokoił Austrję i proklamował państwo buforowe—Polskę. (*état-intermédaire*).

Cesarz uśmiechnął się i powiedział:

Jakżebym zabezpieczył pokój z Rosją, jeśliby nie zechciała ustąpić Litwy? Nie wartoby było całe życie prowadzić wojnę dla takiego rezultatu. Oczywiście, że pragnąłem Polski, ale nie mogłem jej przecież pragnąć z królem, któryby drżał ustawicznie przed Rosją i po paru latach szukał u niej opieki. Z królem obieralnym to państwo nie może istnieć. Z królem dziedzicznym, zazdrość wielkich rodów doprowadziłaby do nowego rozbioru...

— — — — — — — — — — — — — —

Do Polski trzeba przyłączyć inne jeszcze prowincje, zrobić z niej wielkie państwo. Polsce potrzebny jest Gdańsk... Murat by się Polakom podobał, ale on ma taką słabą głowę! Hieronim (brat Napoleona, król Westfalji), o którym myślałem, opuścił armję, żeby nie służyć pod Davoustem.

— Kogo byś mianował królem polskim — spytał mnie znienacka Cesarz.

— Odpowiedziałem, że ponieważ dotychczas nigdy jeszcze królów nie mianowałem, nie mogę się tak szybko namyśleć.

Cesarz roześmiał się i powiedział, iż wybór jest istotnie bardzo trudny. Odpowiedziałem, że myślę tak jak on, że ktoś z jego rodziny na tronie polskim byłby nowym powodem niepokoju w Europie i nową przeszkodą do zawarcia pokoju z Anglją, chociaż utworzenie takiego państwa buforowego (*intermédiaire*) powinnoby odpowiadać polityce angielskiej.

— Pod tym względem masz rację — rzekł Cesarz.

Rozmowa zeszła nieznacznie na zdarzenia niedawne, na Prusy, na pokój w Tylży. Powiedziałem Cesarzowi, że zamiast niszczyć Prusy w Tylży, należało je odbudować chociażby pod mianem Polski, jeżeli uważał za potrzebne odbudowanie tego państwa, że on, Cesarz, zburzył sam to państwo buforowe, które należało zachować w środku Europy; że na jego miejscu byłbym wspaniałomyślnie przebaczył Prusom i byłbym je odbudował na wielką skalę i bez pośrednictwa Rosji, aby je wcielić do mojego systemu, co by się stało gdyby je zrobić polskiemi.

— Polityka Prus była zawsze tak krętacka (*tortueuse*), odpowiedział Cesarz, tak pełna złej wiary i tak niezgrabna, że nie budziła w żadnym gabinecie europejskim sympatji. Jakiś czas zastanawiałem się, czyby dynastji Brandenburskiej nie odsądzić od tronu, ale tak sponiewierałem Prusy, że trzeba je było pocieszyć; a przytem cesarz Aleksander tak się interesował żywo losem tej rodziny, że musiałem ustąpić jego prośbom. Popełniłem wielki błąd, bo władza jaką zostawiłem królowi, nie pozwala mu zapomnieć o tej, którą postradał.

NAPOLEON W WARSZAWIE

Stając nogami na moście praskim, nie mogliśmy się powstrzymać od zwrócenia uwagi na skromny ekwipaż Króla królów. Stare pudło, niegdyś czerwone, umieszczone na saniach, miało cztery olbrzymie szyby oprawne w spróchniałe ramy, które się niedomykały. Wiatr dął i śnieg prószył przez szczeliny tego pudła zgniłego i musiałem co chwila ten śnieg wytrząsać, aby nas, topniejąc, nie zamoczył.

Wszystkie te przykrości nie popsuły cesarzowi humoru — był bardzo wesoły. Zdawał się być bardzo ucieszony z przybycia do Warszawy i ogromnie ciekawy, czy go też poznają. Zdaje się, iż bardzoby się ucieszył, gdyby się ktoś domyślił, że to on, gdyż nie wróciliśmy do sanek aż dopiero po przejściu pieszo całego placu (prawdopodobnie Saskiego nie Zamkowego, przyp.). Było tak bardzo zimno, że kto miał ciepły, kąt nie wyszedł na ulicę i futro z zielonego aksamitu wyszywane złotemi haftami zwracało uwagę zaledwie kilku skromnych przechodniów, bardziej zajętych sprawą dotarcia do ciepłego zakątka, niż podróżnymi, których zresztą kostjum godzien był spojrzenia. Ten i ów odwrócił ciekawie głowę, ale nikt się nie zatrzymał. Coprawda trudnoby było rozpoznać Cesarza. Duża futrzana czapka, zasłaniała mu pół twarzy. O jedenastej zatrzymaliśmy się w hotelu Angielskim.[1]) Posłałem natychmiast zamówienie na konie do dyr. poczty, dla Księcia Vicenzy, aż do Głogowa, bo ja byłem najważniejszym podróżnym, Cesarz zaś moim sekretarzem pod mianem pana de Reyneval.

Usadowiwszy Cesarza pod marnie grzejącym piecem, w parterowym apartamencie, w głębi podwórza, udałem się do ambasadora (Pradt'a) który mieszkał opodal w pałacu Saskim. Wchodząc spotkałem pana Rumigny, sekretarza legacji, którego znałem z Petersburga. Bardzo się cieszyłem z tego spotkania. Zaanonsował on mnie do ambasadora, niepomiernie zadziwionego z mojego przybycia, a także jak sądzę,

[1]) W oryginale: Saskim. Tę pomyłkę prostuje wyd. francuski.

z mojego wyglądu. Kiedy mu powiedziałem, że Cesarz przyjechał i na niego czeka, nie chciał uszom wierzyć.

— Cesarz! — wykrzyknął kilka razy z największem zdziwieniem.

— Jak pan się tu dostał? — pytał. — Jak się miewa Cesarz?

— Cesarz jedzie do Paryża. Opuściliśmy armję w Smorgoni, teraz zapewne usadowiła się w Wilnie.

— Cesarz miałby tu większe wygody, niż w oberży.

— Chce zachować *incognito*... odjeżdżamy natychmiast.

— Możeby książe coś pozwolił? — filiżankę rosołu?

— Będę jadł śniadanie z Cesarzem w zajeździe, ale niech pan przyśle butelkę wina burgundzkiego. Jego Cesarska Mość najwięcej lubi to wino, a nie miał go przez całą drogę, więc będzie kontent.

— Czy Cesarz zdrowy? W jakim stanie znajduje się armja?

— Armja znajduje się w smutnym stanie, gnębiona nędzą, głodem i mrozem. Tylko gwardja zachowała jeszcze wygląd armji regularnej.

— Pan Bassano (min. spr. zewn. Maret) wciąż mówi o zwycięstwach...

— Istotnie, pobiliśmy Rosjan wszędzie, nawet przy przeprawie przez Berezynę wzięliśmy tysiąc sześćset jeńców.

— Pan Bassano zrobił z tego sześć tysięcy.

— Mniejsza o cyfrę jeńców, skoro nie można ich uprowadzić?

— A co stoi na przeszkodzie?

— Skoro nasi właśni żołnierze umierają z głodu i ustają po drodze, jakże żywić jeńców?

— Czy dużośmy ludzi stracili?

— Zbyt wielu — odparłem z głębokiem westchnieniem. Oto wynik godny tych, którzy namawiali do tej wojny. Co za szaleństwo!

— Nie wszyscy do niej namawiali. Ale mniejsza o to. Dzisiaj wszyscy oddają panu sprawiedliwość. Wiadomo, że pan robił wszystko możliwe, żeby od niej odwieść. Ja także nie bałem się, że się Cesarzowi nie spodobam i przedstawiałem mu szczerze sytuację całą i położenie Polski. Ciągle piszę w tych sprawach do pana Bassano, a on mi odpowiada wiadomościami o zwycięstwach, na które się tu nikt nie łapie. Ten kraj jest zrujnowany. Zgnieciono go.

Przerwałem rozmowę i wyszedłem, aby p. Pradt*) miał czas się przebrać i wróciłem do Cesarza, który się niecierpliwił, gdyż będąc niezadowolonym ze swego ambasadora, chciał mu to czemprędzej powiedzieć. Począwszy od Serocka, Cesarz nie przestawał na niego narzekać. Dlatego nie zajechał do niego, co byłoby daleko praktyczniejsze, tembardziej że Cesarz chciał się zobaczyć z kilku przedstawicielami rządu polskiego.

— Nie chcę mieszkać u człowieka,—powiedział mi — którego mam zamiar odprawić. Za wiele zawinił.

Cesarz zarzucał mu skąpstwo, brak taktu i zły wpływ na umysły miejscowej ludności.

— Popsuł mi wszystkie plany — narzekał Cesarz—przez swoje *far niente*. Paple jak belfer i oto wszystko, co robi. Brakowało mi na tym posterunku Talleyranda.

Ambasador przybył właśnie w chwili, gdy Cesarz kończył te słowa. Napoleon przyjął go chłodno. Pan de Pradt przystąpił bliżej, wzruszony i zapytał go o nowiny. W słowach jego znać było współczucie. Tembardziej zraził tem do siebie Napoleona.

Cesarz, który od każdego innego wolałby usłyszeć naganę, niż wyrazy współczucia, tem więcej czuł się urażony, gdy to współczucie pochodziło od człowieka, na którego był zagniewany i który okazywał je, jakby równy równemu.

Pan de Pradt spostrzegłszy wrażenie, jakie wywarł, stał się chłodniejszy i powściągliwszy. Zauważywszy, na co się zanosi, po usposobieniu Cesarza, przyszedłem do przekonania, że oddam usługę ambasadorowi, jeżeli nie będzie miał świadka przy rozprawie z Napoleonem. Cesarz, który chciał jeszcze bardziej upokorzyć p. Pradta, kazał mi zostać, ale kiedy mu powiedziałem, że muszę wydać rozporządzenia co do podróży i kupić dla niego futro, pozwolił mi wyjść i polecił mi, abym przywołał hr. Stanisława Potockiego (prez. rady min.) i min. finansów (Mostowskiego).

Kazałem się pośpieszyć z obiadem i udałem się do pokoju, przylegającego do salonu, w którym znajdował się Cesarz. Ponieważ drzwi się nie domykały usłyszałem mimowoli, jak wypominał ambasadorowi wszystko, z czem się przedemną na niego uskarżał. W końcu powiedział mu, że jego zachowanie się, jego sposób mówienia i wogóle wszystko nie mają w sobie nic francuskiego. Wymawiał mu, że robi plany kampanji, że udaje wojskowego, chociaż się na tem nic nie rozumie, podczas gdy jego zadaniem było zajmowanie się polityką i reprezentowanie godne Francji, a nie robienie oszczędności. Na końcu powiedział Cesarz ambasadorowi, że samych tylko głupstw narobił.

Pan de Pradt starał się usprawiedliwić, zapewniał o swojej wierności i dobrych chęciach, przepraszał, jeżeli się pomylił, i obiecywał, że na przyszłość będzie się starał jeszcze lepiej pracować. Bronił i usprawiedliwiał Księstwo Warsz., jeżeli nie spełniło wszystkiego, czego sobie Cesarz życzył, w sprawie poparcia kampanji rosyjskiej. Zaklinał się, że kraj jest zupełnie zrujnowany, że szeląga w całym kraju nie można znaleźć, że trzeba pomocy pieniężnej, jeżeli kraj ma dać pomoc w ludziach, wymienił ofiary, jakie złożyło Księstwo i wojsko, jakie wystawiło, a które oceniał na 80 tysięcy.

Im bardziej p. de Pradt się bronił, tem więcej niecierpliwił się Cesarz. Wymawiał mu nieobliczalne następstwa, jakie może za sobą pociągnąć zwłoka z poborem wojskowym. Wyrzucał mu, że sobie chce zaskarbić głupią popularność, kiedy człowiek inteligentny powinien rozumieć i wytłumaczyć Polakom, że jeżeli nie dostarczą środków do zakończenia rychło walki, szkodzą sami sobie.

Cesarz zawołał mnie, zdawał się wyczerpany obecnością ambasadora: Poznałem to po jego gestach zniecierpliwienia i wzruszenia ramionami. Pan de Pradt był jak na szpilkach. Sądziłem więc, że oddam tak jednemu, jak i drugiemu usługę, jeżeli wyjdę i zaraz wrócę, oznajmiając cesarzowi, że podano obiad. Ale Cesarz rozpoczął nowy szereg wymówek, mówiąc raz z najwyższą gwałtownością, to znowu z zimną pogardą.

Pan de Pradt tymczasem bronił się, jak mógł, i zrzucał winę na wszystkie możliwe władze francuskie, na

*) Pradt był, jak wiadomo, księdzem i arcybiskupem w Malines.

które się bardzo uskarżał, tak samo jak na generałów etc. i zdaje mi się, że miał trochę racji.

Ta krytyka jeszcze bardziej gniewała Cesarza, który mu w tej chwili nie pozwalał nawet na krytykowanie działań Schwarzenberga...

Cesarz mówił następnie o obronie Księstwa, którą uważał za łatwą przy pomocy poborów wojskowych z krajowej ludności. Tymczasem ambasador był zdania, że Księstwo jest całkiem odsłonięte i bardzo zagrożone. Cesarz układał plany w ciągłem przeświadczeniu, że armja zatrzyma się w Wilnie i że Schwarzenberg*), spełni co do niego należy.

Chciał bronić Księstwa powołaniem do szeregów nowych roczników, ogólnem powstaniem. Miał nawet zamiar zasłaniać etapy swoich armij tymi polskimi kozakami (lekka jazda), o których nie przestawał prawić, a których z powodu braku funduszów nawet dotychczas nie odesłano do garnizonów.

— Czego więc chcą Polacy? żachnął się Cesarz. To przecież dla nich się biję i dla nich wydałem moje zasoby. Jeżeli sami nic nie chcą począć we własnej sprawie, nie warto im się zapalać do odbudowy (ojczyzny) jak to czynią.

Cesarz odwrócił się tyłem do p. Pradta i polecił mu, aby przybył za pół godziny z obu ministrami (Potockim i Mostowskim).

— Siadajmy do obiadu,—rzekł do mnie Cesarz— ażebyśmy mieli czas na rozmówienie się z ministrami i na przygotowania do odjazdu.

Ponieważ Cesarz był pochłonięty myślami nad obecnem położeniem, obiad trwał krótko.

— Kłopoty żywią, — rzekł do mnie — niezadowolenie nasyca, a ten ksiądz mnie rozgniewał, co za czelność?

Ministrów, którzy przybyli w towarzystwie p. Pradta, przyjął Cesarz łaskawie. Ci panowie zwrócili uwagę Cesarza na niebezpieczeństwo, na jakie się narażał i wyrazili radość, że go widzą w dobrem zdrowiu. Obecność Cesarza była dla nich rękojmią lepszej przyszłości etc. etc.

Cesarz zaprzeczył, aby mógł się był znajdować w niebezpieczeństwie i powiedzał żartując, że odpoczynek przystoi tylko leniwym królom, ale że jemu znużenie wychodzi na zdrowie. Powiedział im, że armja jest jeszcze liczna i sięga stu piećdziesięciu tysięcy, co było bliskie prawdy. Rosjanie, zdaniem jego, nie mogli się z nami mierzyć. Pobił ich wszędzie, nawet nad Berezyną. Nim trzy miesiące minie, będzie miał armję równie silną, jak dawna. Armaty ma. Posiada wszystko, co potrzeba do wyekwipowania wspaniałej armji. Ze swojego gabinetu w Tuilerjach prędzej narzuci swoją wolę Berlinowi i Wiedniowi, niż z głównej kwatery.

Mówił o Marengo i Essling, o tych bitwach niemal przegranych, a które po dwóch godzinach zmusiły Austrjaków do oddania się na jego łaskę.

Przeszedłem do drugiego pokoju, żeby zobaczyć, czy wszystko gotowe do drogi. Sanie stały zaprzężone przed bramą. Zapłaciłem oberżystę, dałem kilka poleceń i zanotowałem ciekawą rozmowę, której byłem świadkiem.

Kiedy znowu mogłem się przysłuchiwać dalszej rozmowie, usłyszałem, że Cesarz przypisywał swoje niepowodzenie klimatowi. Przyznawał, że może trochę za długo bawił w Moskwie. Mówił że utrzyma się w Wilnie i przedkładał z zapałem konieczność powołania świeżego rekruta, szczególnie chodziło mu o kozaków, których uważał za nieodzownych.

Ministrowie kładli nacisk na wyczerpanie kraju. Cesarz nie zdawał się zwracać na to uwagi. Pan de Pradt poparł ich wspaniałomyślnie, kiedy poprosili o pieniądze. Cesarz przyznał im kilka miljonów z kontrybucji należnej od Kurlandji i z bilonu (piemonckiego). Zapowiedział im następnie przybycie korpusu dyplomatycznego z Wilna i zaczął mowić o swojej podróży. Ministrowie prosili Cesarza, aby odpoczął kilka godzin, ażeby mieli czas uprzedzić pocztowe stacje i przygotować szybką przeprząż koni. Spytali go, czy obiera drogę na Śląsk przez Głogowo. — Tak, na Prusy jadę, odpowiedział Cesarz. Poczem pożegnał ministrów bardzo uprzejmie, a oni zapewnili go o swojej wierności.

O siódmej wieczorem wyjechał Napoleon z Warszawy. Dn. 11-go grudnia zatrzymał się w Kutnie, dla naprawy sanicy, która się złamała. Tu przyjmował go jak mógł „podprefekt", którego nazwiska Caulincourt nie podaje, wraz z piękną małżonką i równie ładną jej siostrą. „Nikt niema twarzy tak pełnych wyrazu, jak Polacy" notuje Caulincourt. Cesarz tak był wzruszony przyjęciem, jakiego doznał, że polecił koniuszemu, aby po przyjeździe do Paryża powiedział Durocowi, żeby przysłał żonie podprefekta podarunek.

Przejazd przez Prusy odbył się bez wypadku, lecz była to część drogi, której się Cesarz najbardziej obawiał i przyszło mu na myśl, że go mogą zamordować, albo wydać Anglikom, kazał więc Caulincourtowi na wszelki wypadek broń opatrzyć...

W Dreznie odwiedził Napoleona Król Saski, Fryderyk August, jedyny wierny sojusznik, który tę wierność przypłacił utratą części państwa.

Do Paryża przybył Cesarz 19-go grudnia, późnym wieczorem. W pełnym galopie przejechał pod łukiem triumfalnym i zatrzymał się dopiero przed bramą Tuileryj.

Straż pałacowa nie poznała go i dopiero rozespany portjer przypatrzył mu się bacznie i wyrzekł spokojnie ku podziwowi obecnych: „to jest Cesarz".

*

Niedawno ukazały się pamiętniki Królowej Hortensji*), z których dowiadujemy się ciekawego szczegółu, a mianowicie, że aljanci wkraczając do Paryża w 1814 r., nie mieli prawie całkiem amunicji, bo zaledwie na jeden dzień. Składy amunicyjne w całej Europie znajdowały się jeszcze w rękach francuskich. Gdyby więc Marmont, wbrew rozkazowi, nie poddał był Paryża, Napoleon odniósłby był, być może, najświetniejsze z wszystkich zwycięstwo i pojmał do niewoli Aleksandra i króla Pruskiego wraz z całą armją. Zaiste, od drobnych faktów zależą nieraz losy świata.

FELIKS CHWALIBÓG

*) Wódz naczelny sojuszn. armji austrjackiej.

*) Królowa holenderska, córka Józefiny, a matka Napoleona III-go.

LIBERUM VETO

Rodzenie się pedagogów. — Nieleczone bolączki. — Niemiłosierne podręczniki. — Co ma wiedzieć dziecko z geografji i gramatyki polskiej. — Smutne skutki oryginalnych pomysłów pedagogicznych.

ILU było ministrów oświecenia — około dwudziestu — tyle narodziło się i umarło programów szkolnych. Ojcem nowego ma być obecny, który tworzy swoje dzieło powoli, gdyż do tej roboty zabrał się po raz pierwszy w życiu. Nie jest to zresztą wypadek wyjątkowy: u nas bowiem nie znawcy zostają ministrami, ale ministrowie kształcą się na znawców. Francuzi mówili: *„propre à tout n'est propra à rien"* — zdolny do wszystkiego, nie jest zdolny do niczego, ale za to rosjanin powiada: „jeżeli kto z nas widział nagą kobietę, może być akuszerem". Tembardziej kto ukończył albo nawet nie ukończył gimnazjum, może być reformatorem oświaty. Przez 10 lat stoi ona ciągle u nas na martwym punkcie, ale corocznie odbywają się zjazdy rozmaitych pedagogów, rodzaj austrjacko-galicyjskich „sejmów postulatowych", na których uchwalane są życzenia, rozpraszające się w przestrzeni tak, jak fale radjowe nieschwytane przez słuchawki. Niedawno przedstawiciele szkół średnich urządzili znowu w Warszawie taką wystawę „bolączek", na które wszyscy się skarżą a nikt ich nie usuwa.

Tych „bolączek" jest w naszej oświacie tyle, ile ona ma potrzeb i zadań, zwrócę dziś wszakże uwagę tylko na jedną. Wszystkie doświadczone głowy zgadzają się na to, że ideałem nauki szkolnej powinny być wykłady jasne, zrozumiałe, dla młodzieży ponętne i pożyteczne. Otóż w naszych programach zrobiono wszystko, ażeby te warunki pogwałcić, ażeby młodzieży naukę utrudnić, zaciemnić i obrzydzić, nie z nienawiści, ale z bezmyślności pedagogicznej i z chęci stworzenia czegoś bardzo oryginalnego, co nigdzie nie istnieje, co wszędzie zostało potępione. Pomogli do tego nawet ludzie ogromnej wiedzy i bezsprzecznie dobrej woli. Może to pozornie wydać się paradoksem, a jest stwierdzoną doświadczeniem prawdą, że podręczników szkolnych nie powinni układać uczeni specjaliści. Oni bowiem, przyzwyczajeni do ujmowania i rozwiązywania zagadnień najtrudniejszych, skracają wielką odległość i zacierają różnicę między swojemi umysłami a umysłami dzieci i młodzieży. Nie dostrzegają, że co dla nich jest prostem i jasnem, to dla tych ostatnich bywa zawiłem i ciemnem. Prof. E. Romer, znakomity badacz, autor wysoko cenionych dzieł i atlasów, napisał „Geografję dla II klasy szkół średnich, V i VI szkół powszechnych", czyli dla dzieci 11—12-letnich. Trudno byłoby wymyśleć podręcznik o większej wartości naukowej i mniejszej pedagogicznej. Wogóle geografja nowoczesna jest muzą o licznych twarzach, składa się bowiem z astronomji, z fizyki, geologji, meteorologji, zoologji, botaniki, z dodatkiem sztuki, komunikacji, przemysłu, handlu i polityki. Podziwiać można, że ten olbrzymi ładunek mieści się w jednej głowie uczonego, ale niepodobna wymagać, ażeby on się zmieścił w głowie dziecka. Jeżeli przeto nie ma swym ciężarem rozgniatać młodych mózgów, powinien być zastosowany do ich siły zarówno ilością i jakością. Uczony autor geografji dla klas niższych nie wie lub zapomina, że takie pozornie proste i jasne pojęcie, jak np. południk, nie jest linją myślową, lecz rzeczywistą dla dziecka, które wyobraża sobie, że kula ziemska jest obciągnięta takiemi łuskami. Tymczasem prof. Romer wymaga od niego oznaczenia szerokości i długości geograficznej najrozmaitszych punktów globu. Każe mu dokonywać pomiarów i wykreśleń nie tylko trudnych, ale dla wiedzy szkolnej, ogólnej całkiem zbytecznych. Okażemy to przytoczeniem szeregu pytań, pamiętając przytem, że one są zwrócone do jedenasto i dwunastolatków.

„Czem jest naprawdę zatoka Baffina i czem cieśnina Davisa? Do jakiego rodzaju mórz należy zatoka Hudsońska i zatoka Meksykańska. Oznacz, przez ile stopni długości rozciąga się Atlantyk bez rozgałęzień na 40 równoleżniku północnym? Jak działa falowanie na wybrzeża morskie? Które części Bretanji zbudowane są ze skał twardszych, które z miększych? Jakie cechy charakteru wyrabia morze u nadbrzeżnych mieszkańców? Oblicz, ile półwyspów drugorzędnych półwyspu Skandynawskiego i Apenińskiego. Czy jest możliwy przypadek, żeby wysokość bezwzględna była mniejsza od względnej? Która nizina Europy nie sąsiaduje z żadnem morzem? Oznacz wysokość wnętrza kotliny Kongo i kotliny nilowej. Czy w głębi jarów lub kanjonu rozwijają się większe miasta lub osady? Wymień w przybliżeniu wysokość miasta Bogota, Quito i Potosi. W jakim kierunku jest Dżungurja otwarta? Czy wnętrze wyżyny Irańskiej przedstawia jednolitą zaklęsłość? Ile metrów wynosi spadek Seretu? Ile metrów spadku rzeki Bramaputry przypada na 1 km. jej biegu powyżej 3,000, a na przestrzeni biegu w wysokości między 3000 a 300 m.?"

Podobnych żądań w podręczniku „dla II klasy szkół średnich" są setki. Nie zdziwiłbym się wcale, gdyby najlepszy uczeń nie odpowiedział na żadne z nich, bo chociaż skończyłem dwa uniwersytety i nie uważam się za nieuka, wyznaję szczerze, że nie zdałbym egzaminu do trzeciej klasy gimnazjum według geografji prof. Romera. Autor, zapominając zupełnie o naturze i zakresie umysłu dziecka, podciąga je do miary kandydata na profesora geografji, wymaga wiedzy zbytecznej lub wprost niemożliwej. Inny podręcznik tej nauki P. Sosnowskiego jest przystępniejszy, ale czego w nim niema! Oprócz wiadomości fizyko-geologo-astronomo-przyrodniczych, podane niektóre typy ludzkie, wizerunki niektórych miast, obrazki dworów i chat, tablice statystyczne szkolnictwa i przemysłu, długości linij kolejowych, wykazy hodowli bydła i t. d. — słowem całkowita encyklopedja wiedzy. A wszystko to ma być wtłoczone do młodej główki tylko jedną pompą geografji.

Gramatyka polska należy do najtrudniejszych w językoznawstwie. Mowa nasza nadzwyczajnie bogata (według moich obliczeń słownikowych najbogatsza w Europie), bardzo żywotna, ciągle narastająca świeżemi formami, przedstawia ogromne trudności w uporządkowaniu gramatycznem, powiększane nowemi, nieraz dziwacznemi pomysłami reformatorów. Wymagać od dziecka, ażeby ono nie zbłąkało się w tym lesie niezliczonych reguł, wyjątków i wyjątków od wyjątków, jest okrucieństwem pedagogicznem. Wszystkie gramatyki szkolne w językach europejskich poprzestają na prawidłach najogólniejszych i unikają dociekań lingwistycznych, pozostawiając szczegóły wprawie praktycznej. Nauczycielowi francuskiemu nawet na myśl nie przychodzi wtajemniczać uczniów w rodowody etymilogiczne stu nieprawidłowych czasowników. Natomiast gramatycy polscy wysilają się, ażeby wpakować w zapchaną innemi naukami młodą głowę jak najwięcej drobiazgów, które ona zdobywa praktycznie lub których ona wcale nie potrzebuje. Musi np. zapamiętać, że spółgłoski dzielą się na: wargowe, wargowo-zębowe, językowe, przednio-językowe, średnio-językowe, czyli podniebienne, tylno - językowe, czyli gardłowe, twarde, miękkie, głośne, dźwięczne, ciche, bezdźwięcz-

ne. Musi nauczyć się 6 stronic prawideł (Drzewieckiego), kiedy pisać *rz*, a kiedy *ż*, 24 stronic o deklinacji męskiej, 16 stronic o deklinacji żeńskiej, 22 stronice o zaimkach, 34 stronice o przymiotnikach, 54 stronice o słowie, z setkami reguł, podreguł, wyjątków, podwyjątków i t. d. I to wszystko dla nauczenia poprawnej wymowy i pisowni w języku, którym dziecko włada biegle.

W dobrym skądinąd Podręczniku zoologji „dla młodzieży od lat 10 do 14" Nussbauma podana jest szczegółowo anatomja wszystkich zwierząd od pierwotniaków do ssących. Czy należy i można wymagać od dziecka, ażeby ono zapamiętało ustrój wewnętrzy żyjątek widzianych jedynie pod mikroskopem? Na co mu sią przyda, gdyby nawet mogło ją utrwalić, znajomość wewnętrznego ustroju ameby, wirczyka, stułbji, chełbji a nawet pająka lub karalucha?

Jaki z tej męczarni mózgowej skutek? Pierwszy — to powszechna niechęć uczniów i uczenic do nauki w wykładzie utrudnionym[1]) i drugi jeszcze gorszy, stwierdzamy na wszystkich zjazdach profesorów szkół wyższych — te bardzo nędzne przygotowanie maturzystów do studjów akademickich. O tem wszystkiem wiemy, przez 10 lat na poprawę tej niedoli czekamy i widzimy tylko przysłowiowe wieszanie nowych sitek na kołku przez zmieniających się ministrów. Ostatnie, znane dotąd z pogłosek, grozi znowu zrównaniem szkół powszechnych z niższemi klasami gimnazjów. Co to będzie, gdy wychowawcy tych szkół, zwłaszcza wiejskich, którzy często wychodzą z mikroskopijną odrobiną wiedz — i piszą fhut (wchód), tylko najbardziej rozbujana fantazja może odgadnie. Mussolini, Mussolini pojaw się u nas i uporządkuj ten potworny chaos!

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

GŁOSY

ZYGMUNT KRASIŃSKI

W PATRJOTYCZNYCH kołach Warszawy powzięto myśl uczczenia pamięci Zygmunta Krasińskiego w 70-ą rocznicę jego śmierci. W dniu 14 b. m. w kościele św. Krzyża odprawił nabożeństwo za jego duszę ks. biskup Szlagowski, wieczorem odbyła się uroczysta akademja połączona z koncertem.

Nie literacki to obchód, lecz dyktowany uczuciami patrjotycznemi, przechowanemi z tych czasów, kiedy poeci wielcy sprawowali rządy dusz i przed światem świadczyli z wysokości, że żyje cywilizacja, że żyje naród czekający swego państwa.

Rozmaicie dzisiaj nauka o literaturze zapatruje się na tytuły artystyczne Krasińskiego. Są opinje, że nie można równać go z Mickiewiczem i Słowackim. Bądź co bądź idea trójcy wieszczów misję swoją spełniła. Pod jej czarodziejską suggestją widzieliśmy „gdzieś w odwiecznej świateł bieli ...ponad czasu przepaściami, jak się Polska cała jednem widmem zmartwychwstałem z dni przyszłości wychylała — nieśmiertelna, nieskończona"!

W pracy twórczej tych poetów nad konstrukcją jaźni narodowej istniał pewien podział, przyczem Krasińskiemu wyznaczono rolę proroczego widzenia w przedświtach form życia politycznego. Krasiński, umysł najstarszej z pośród tych poetów kultury dziedzicznej, doskonale się orjentujący w wartościach społecznych i historycznych. Myśl była jego żywiołem, sztuka upodobaniem, ale nie celem. Paliła się w nim myśl obywatelska. Zbliżała go raczej do Mickiewicza idea czynu, jako zasada życia. Nie zapomnijmy Krasińskiemu, że uczył:

„Czyń ciągle i bez wytchnienia, a zmartwychwstaniesz z pracy wieków".

TEATR BUDUJĄCY

GDYBY na przedstawieniu „Batorego" albo „Zborowskiego" usiadł przy nas profesor historji i zaczął szeptem pouczać podczas gry, że Gryzelda Batorówna nigdy się nie kochała w Zborowskim, albo że ów brat nieszczęsnego Samuela, co był jego złym duchem i groźnym zdrajcą stanu, nazywał się Krzysztof, że inny brat Piotr, wojewoda krakowski umarł w r. 1581, więc Samuela nie przeżył, że podczas procesu 1584/5 roku było już po wojnie moskiewskiej, że to był sejm szósty, a nie czwarty, tobyśmy słusznie powiedzieli historykowi: „nie przeszkadzaj, tu nie audytorjum uniwersyteckie".

Gdyby się przysiadł do nas polityk, i zaczął nam wiercić dziurę w mózgu, że najważniejsze zadania czekają nas pod Pskowem, że król to jedyny piastun racji stanu, czy też jedyny suweren, że parlamentaryzm przejadł się jeszcze za króla Ćwieczka, a dzisiejsze partje niczem się nie różnią od fakcyj Zborowskich czy Radziwiłłów, że i w myśl ideologji Batorego dobro państwa jest najwyższem prawem, że na radosną twórczość państwową żadnych nie należy skąpić ofiar — powiedzielibyśmy jeszcze niecierpliwiej: „daj spokój! kazania dobre są w kościele, zaś dramaty i komedje w teatrze".

Atoli inscenizację sztuk St. Szpotańskiego w Teatrze Narodowym i Ferdynanda Goetla w Polskim poprzedziły głośne szepty, że to będą przedstawienia bardzo na czasie, że w nich można ujrzeć naszą teraźniejszość, ba, nawet wielu rzeczy się nauczyć. Co więcej, podczas przedstawienia „Samuela Zborowskiego" rozdaje się egzemplarze czasopisma „Teatr", z osobistem wyznaniem autora, dlaczego napisał „Samuela". Autor niby się broni przed natręctwem ciekawych („pisze się, bo się pisze"), ale koniec końcem opowiada, jak to w jego umyśle konflikt między Stefanem i Samuelem nabierał w ostatnich latach cech aktualności, nasuwał analogję między dobą naszą i batorjańską. Innemi słowy: szukajcie analogji.

Tu l'as voulu. Wolelibyśmy wyrazić albo jeszcze lepiej: usłyszeć z ust bardziej powołanych, zdanie o artystycznej strukturze dramatu, o walce ducha czy też walkach duchów, o scenarjuszu, języku, stylu, rytmie rzeczy widzianych i słyszanych w teatrze, i byłoby to zdanie pod niejednym względem dla autora pochlebne. Skoro jednak i publiczność i sam pan Goetel podpowiada, że tam ma się ukazać On i będą zdemaskowani oni, podejmujemy dyskusję nad pytaniem: dlaczego p. Goetel napisał swego Zborowskiego tak, a nie inaczej.

Do wyjaśnienia sprawy dopomoże nam pan Szpotański. Wprawdzie i on uznał za właściwe zwilżyć kamienną suchość konfliktu łzami pięknej Gryzeldy. Uważamy ten motyw erotyczny za zupełnie zbędny. Że Henryk Rzewuski pierwszy kazał się Batorównie kochać w Zborowskim i nawzajem, to rzecz dość zrozumiała: autor „Listopada" wyrósł w świeżej tradycji czasów stanisławowskich t. j. epoki najbujniejszego „*cicisbeismu*", a z dalszej tradycji rodowej nie mógł zaczerpnąć zrozumienia kolizji między państwem, narodem, prawem, a fakcjąrodem, samowolą. Prawdziwi jednak tragicy: Słowacki, Wyspiański, Rostworowski,

[1]) Według sprawozdania Instytutu Psychotechnicznego (Młodzież szkół zawodowych, 1929) zaledwie 25% uczniów „lubi" język polski i między tymi „jest przewaga słabych".

umieli wzruszać widza bez pomocy erotyzmu, nawet najbardziej uduchowionego. Ale pozatem p. Szpotański znalazł w wypadkach 1578-1584 r. dosyć rzeczywistego wątku na budowę dramatu, dał nam historycznego Stefana, Annę, historycznego Zamoyskiego, Possewicza, posłów moskiewskich, Zborowskich, Karnkowskiego, Kmitę, Haraburdę, wogóle tyle historji ścisłej w drobnych nawet szczegółach, że wychodzimy z teatru niemal przehistoryzowani, przesyceni, zajęci pytaniem ubocznem: z jakich źródeł ten lub ów szczegół zaczerpnięty? co najważniejsze przecież, wiemy, jak wyglądał przed wiekami konflikt między królem, ojczyzną, prawem, a warcholstwem i prywatą. Dramat prosty, zrozumiały, popularny.

Inaczej pan Goetel. On sobie dzieje przebudował — według zgóry powziętej, niekoniecznie artystycznej koncepcji. Zawsze, powiada, współczuł ze za Zborowskim, uwielbiał Batorego. Tak samo współczuł Burom, ale trzymał z Anglikami. Tylko dla Zamoyskiego nie miał serca — był on mu równie obojętny, jak *Foreign Office* w wojnie południowo-afrykańskiej. I dlatego któż się składa na jego dramat? Jest tam król bohater, wojownik, wódz narodu, sługa sławy. Jest Samuel Zborowski, nieokiełznany, płomienny, nieszczęśliwy, buntownik, ale podobno nie zdrajca.

Pierwszego mamy wielbić, drugiemu współczuć. Ale jeżeli ktoś myśli, że w sztuce p. Goetla toczy się sprawa o jestestwo moralne Polski, jak w poemacie scenicznym Słowackiego, albo że tutaj prawo łamie się ze swawolą, jak w kronice dramatycznej Szpotańskiego, ten się myli: poprostu jedna strona utopiła swe serce w królu, druga gotowa w nim topić sztylety. Rząd Rzeczypospolitej — poza królem Węgrem — reprezentuje suchy, nieciekawy Zamoyski (*Foreign Office*) — i trzech szpiegów, którzy dla schwytania buntownika uciekają się do skrytobójstwa. A zorganizowany naród? Należy wiedzieć, że Sejm i Senat w r. 1584—5, jak przez całe panowanie Batorego, stały w ogromnej większości przy królu, Zamoyskim i prawie, i to się właśnie p. Goetlowi nie podoba, dlatego też napełnia swą izbę bezimiennymi warchołami (wyjątek czyniąc dla Litwinów) i kładzie im w usta motywy pozornego legalizmu a rzeczywistego samolubstwa, na których dźwięk ręce widza mają się złożyć do oklasku, a jego usta mają szeptać: „całkiem jak dziś... całkiem jak oni..." A kiedy dociągnięty do aktualnych wymagań Batory grzmi na „kramarzy" lawą górnych a mętnych słów, widownia cała ma oszaleć z wdzięczności za besztanie parlamentaryzmu. A że w tej mowie ni stąd ni zowąd padają hasła niespodziane, słabo z całością sztuki związane („ciemnocie urągać", „narodom nieść płomień wolności") ale zgoła niemoralne: „kto sam sobie święty, urąga prawom, które święte Bogu" padnie, o to mniejsza, tem nie warto się przejmować, bo i tak zaraz zagrzmi pod oknami pieśń husarska, kramarze i wyzwoleńcy padną na kolana, i uchwalą budżet z funduszem dyspozycyjnym.

Tkwią w nas wszystkich duchy minionych epok — każdy ma w sobie swego Batorego, i Zamoyskiego, i Zborowskiego, ale nie każdy w jednakowej proporcji. Pan Goetel ogłosił, że odczuwa Samuela, a czci Stefana. Podobnie myślących Polaków jest bardzo wielu. Albo hulanka na stepach, albo plackiem przed husarją, może nawet naprzemian jedno i drugie! Ale nie wszyscy są tacy. Dla wielu — w tej liczbie bodaj też dla p. Szpotańskiego — istnieje, jak istniała przed wiekami, Rzeczpospolita samowładna, do świata zachodniego należąca, na prawie oparta, oczywiście ułomna, daleka od nieomylności, ale bądź co bądź trwalsza od królów i od husarji, ta Rzeczpospolita Polska, której mało widać w *lirycznym* dramacie Goetla, a której symbolem był wychowanek Padwy, znawca rzymskiego senatu, stróż prawa, największy Polak Złotego Wieku, Jan Zamoyski.

CZARNY ZAMOJSZCZYK

Z POLITYKI ZAGRANICZNEJ

PARLAMENT WŁOSKI

REFORMA ustroju politycznego, przeprowadzona we Włoszech przez Mussoliniego, sięga bardzo głęboko w życie społeczne i polityczne narodu.

Nowa izba poselska powstała z innego systemu wyborczego, niż wszystkie dotychczasowe. System nowy zaś jest wynikiem zupełnie odmiennego pojmowania społeczeństwa, jego organizacji i reprezentacji.

Dotychczas, podobnie jak w innych krajach Europy, patrzono tam na społeczeństwo jako na sumę jednostek, wolę zbiorową zaś tego społeczeństwa wyrażali przedstawiciele wybrani przez powszechne głosowanie. Faszyzm nie uważa społeczeństwa za mechaniczne skupienie jednostek, lecz za organizm, złożony z grup zawodowych. Reprezentować zaś wolę społeczeństwa mają przedstawiciele, wybrani przez poszczególne związki zawodowe, uznane przez państwo.

Reforma ustrojowa musiała tedy być poprzedzona przez reformę społeczną. Zanim wprowadzono nowy system wyborczy przeprowadzono organizację związków zawodowych, czyli korporacyj, jak je nazywają we Włoszech. Trwałość nowego ustroju politycznego zależy też od tego, czy wykaże żywotność nowy ustrój społeczny. Naśladować ustrój polityczny Włoch mogą tylko te kraje, które mają lub mieć mogą korporatywny ustrój społeczny.

Wiemy, że w czasie dyskusji nad reformą ustroju i prawa wyborczego ujawniła się w łonie faszyzmu dość wydatna różnica zdań — niektórzy wyrażali obawę, że izba wyłoniona z korporacyj zawodowych będzie instytucją gospodarczą a nie polityczną, że może w niej zabraknąć zrozumienia i poczucia powszechnego interesu narodowego. Dla uniknięcia tej ewentualności wprowadzono, jako czynnik wyborczy, Wielką Radę Faszystowską, która układa ostatecznie listę posłów z pośród podwójnej ilości kandydatów, wyznaczonych przez korporacje.

Ze sprawozdania, ogłoszonego po ostatniem zebraniu (9 kwietnia) Wielkiej Rady widać, że zagadnienie to było ponownie przedmiotem dyskusji na tem zebraniu. Rada powzięła w tej materji taką uchwałę:

„Wielka Rada ponawia swe postanowienie, że Izba, wychodząca z korporacyj, ma charakter polityczny i funkcje polityczne i że zadaniem posłów faszystowskich jest:

a) kontrola nad prowadzeniem administracji państwowej, w szczególności przez dyskusję nad budżetem;

b) współdziałanie w opracowaniu projektów praw, wniesionych przez rząd lub pochodzących z inicjatywy parlamentarnej.

Jak widzimy z uchwały powyższej parlamentaryzm we Włoszech nie został zniesiony, lecz jedynie gruntownie przekształcony.

Na razie, oczywiście, czynnikiem decydującym jest wola Mussoliniego i skupionych koło niego kierowników faszyzmu. Lecz z czasem, w miarę jak się będą gruntowały nowe instytucje państwowe i społeczne, będą one nabierały wagi i znaczenia. Nie ulega dla nas wątpliwości, że Włochy weszły w nowy okres swego rozwoju i że nie może już być mowy o cofnięciu się do stanu z przed r. 1922, to znaczy do stanu z przed rewolucji faszystowskiej.

S. K.

WYCHOWANIE NARODOWE

WNIOSEK „WYZWOLENIA“ W SPRAWIE NOWEGO USTROJU SZKOLNICTWA

W SIERPNIU 1927 r. ukazał się projekt nowego ustroju szkolnictwa, przygotowujący t. zw. szkołę jednolitą. Był to miodowy okres rządów pomajowych, pełen „radosnej twórczości“, brzemienny w radykalne pomysły i reformy, — nic też dziwnego, że projekt nosi na sobie piętno tych czasów. Ówczesny minister W. R. i O. P., Dr. G. Dobrucki, podpisując go, zdawał sobie widocznie sprawę z nieżywotności krańcowych pomysłów, bo w sposób przezorny wycofywał się równocześnie z całej imprezy, pisząc: „Postanowiłem już w tem stadjum podać projekt do publicznej wiadomości i wysłuchać o nim uwag, zanim powezmę o s t a t e c z n ą d e c y z j ę i wystąpię z projektem wobec czynników powołanych. Charakterystyczny to zresztą sposób dla całej działalności dawnego polityka stanisławowskiego, wywyższonego jakimś dziwnym trafem ze stanowiska lekarza prowincjonalnego na godność ministra i reformatora szkolnictwa.

Dwa lata dobiegają od chwili ukazania się tego niefortunnego projektu. Dyskusje nad nim, bardzo ożywione w pierwszych miesiącach, wkrótce zacichły. Przewaga przeciwników „szkoły jednolitej“ była zbyt widoczna: argumenty, wykazujące jak groźne dla naszej kultury byłoby zamknięcie trzech niższych klas gimnazjalnych, okazały się druzgocące; popierała je powaga wszystkich naszych najwyższych uczelni, oświadczających się zgodnie przeciw projektowi, jak też i autorytet potężnego Tow. Naucz. Szkół Wyż.

Przeprowadzona w ciągu roku szkolnego próba, polegająca na zorganizowaniu klas czwartych gimn. wyłącznie dla uczniów, którzy ukończyli siódmą klasę powszechną, miała wykazać słuszność stanowiska obecnych kierowników oświatowych, skończyła się jednak prawdziwą ich klęską. Zgodna opinja nauczycieli i wizytatorów, często gorących zwolenników szkoły jednolitej, okazała się dla tego eksperymentu wprost ponurą. Było to przykrą niespodzianką nietylko dla reformatorów, ale i dla przeciwników reformy. Ci bowiem zwalczają wprawdzie pomysł zamykania trzech niższych klas gimn., są jednakże gorącymi zwolennikami pełnej siedmioklasowej szkoły i wierzą w jej dodatnie rezultaty. To też z prawdziwem rozczarowaniem i rzetelną troską stwierdzają oni, że obecne nasze szkoły powszechne nietylko nie mogą być dobrym wstępem do wyższych klas gimn., co jedynie stwierdza ich teoretyczne wywody i jest zjawiskiem zupełnie naturalnem, lecz że wogóle poziom wielkiej ilości szkół powszechnych jest zbyt niski i to już musi zatrwożyć prawdziwych szermierzy szkoły powszechnej o najwyższym poziomie organizacyjnym.

Widocznie też pod wpływem tego smutnego doświadczenia, minister Świtalski zapowiedział na ostatnim walnym zjeździe Związku Naucz. Szkół Powsz., ku niemałemu rozgoryczeniu związkowców, że zasadniczym warunkiem kasowania trzech niższych klas gimn. jest postawienie nauki w najwyższych klasach szkoły powszechnej co najmniej na poziomie obecnym odpowiednich klas gimnazjalnych. Formuła szczęśliwa, która powinnaby, zdaje się, pogodzić wszystkich. Wprawdzie tenże sam minister z wielką niekonsekwencją, w dwa miesiące później, wydał rozporządzenie, wprowadzające jednakowy program w trzech najwyższych klasach szkoły powszechnej i trzech najniższych klasach gimn. i przez to teoretycznie niejako rozstrzygnął samo sporne zagadnienie, mimo to jednak zdawało się, że w praktyce zwycięży linja pośrednia, odsuwająca wszelkie radykalne zmiany na dalszą przyszłość. Można było wierzyć, że za przykładem zachodnich narodów wkraczamy na długą wprawdzie, ale za to pewną drogę doświadczenia. Miało rozstrzygnąć życie t. j. szlachetna emulacja szkoły powsz. z odpowiedniemi klasami gimn. Na takie powolne eksperymenty zgodziły się na Zachodzie także partje radykalne; nawet w Wiedniu, rządzonym przez socjalistów, zwyciężył wstręt do rewolucji w szkole, gdyż dobrze tam rozumieją, że fałszywy krok w reformie szkolnictwa wydaje skutki ujemne, wprawdzie zrazu niewidoczne, ale rosnące z każdym rokiem i odbijające się na całych pokoleniach.

Tych prostych prawd nasi radykałowie nie rozumieją i nie chcą się zadowolić wspomnianem rozporządzeniem ministra, choć widocznie było ono dyktowane chęcią ich pozyskania. Zaślepieni doktrynami posłowie „Wyzwolenia“ wystąpili w styczniu ze swoim projektem. Wniosek w pierwszem czytaniu przeszedł przez Sejm i został odesłany do Komisji oświatowej. Przeważnie jest on niemal dosłownem powtórzeniem projektu min. Dobruckiego, lecz w tych miejscach, w których różni się od pierwowzoru, wprowadza wszędzie zmiany w kierunku jeszcze bardziej krańcowym. Wyraźnie już projektodawcy określają cel ustawy, zaznaczając otwarcie, że jest nim stworzenie szkoły jednolitej; nieustannie też akcentują, że przyjmowanie uczniów do szkół wyższego typu odbywa się bez egzaminu (już to wszelkich egzaminów projektodawcy boją się wprost nerwowo); wreszcie projekt narzuca bardzo krępujące więzy szkolnictwu prywatnemu. Te zmiany są charakterystyczne, ale nie wydaje się, ażeby przeprowadzenie ich było głównym celem akcji, wszczętej przez „Wyzwolenie“.

Właściwa intencja występuje dopiero w art. 32 projektu. Brzmi on: „Klasy wstępne przy szkołach średnich będą zwijane w sposób następujący: klasa pierwsza (wstępna) zostanie zwinięta w początku drugiego roku szkolnego, następującego po wejściu w życie niniejszej ustawy, druga wstępna — od początku roku czwartego, w r e s z c i e klasa trzecia wstępna—od początku roku s z ó s t e g o“.

Odpowiedni ustep w projekcie ministerjalnym (art. 30) był znacznie ostrożniej zredagowany: „Klasy wstępne (t. j. dzisiejsza kl. I, II, III) przy szkołach średnich ogólnokształcących będą zwijane s t o p n i o w o, w m i a r ę r o z w o j u szkolnictwa powszechnego na danym terenie, w szczególności zależnie od liczby odpowiednio przygotowanej młodzieży, kończącej corocznie na danym terenie siedmioklasową szkołę powszechną najwyższego stopnia organizacyjnego.

D e c y d o w a n i e w sprawie czasu zwijania klas wstępnych w poszczególnych szkołach n a l e ż y d o m i n i s t r a W y z n a ń R e l i g i j n y c h i O ś w i e c e n i a P u b l i c z n e g o, który wyda zarządzenia, ustanawiające sposób badania warunków wprowadzenia w życie tego postanowienia niniejszej ustawy“.

Radykalizm nawet takich ministrów, jak Dr. Dobrucki i Dr. Świtalski nie jest jeszcze dostateczną gwarancją dla naszych lewicowców. Przyznajmy, że mają oni częściowo słuszność. Żaden minister, o ile jest człowiekiem jako tako rozważnym, gdy się rozpatrzy w zagadnieniu, gdy przeczyta sprawozdania ze stanu szkolnictwa, przecież się zawaha przed zbyt pochopnem zamykaniem klas gimn., by w ten sposób nie zburzyć gmachu kultury narodowej. Otóż tej rozwagi boją się posłowie „Wyzwolenia“ i dlatego zgóry chcą skrępować przyszłych ministrów. A nużby doświadczenie ludów zachodnich potępiło szkołę jednolitą, nużby jeszcze przez

kilkanaście lat stan naszego szkolnictwa nie był należyty. Mogłoby to ostatecznie pogrzebać szkołę jednolitą. Trzeba więc kuć żelazo, póki gorące, trzeba tworzyć ustawę, która będzie działała precyzyjnie jak maszyna piekielna z mechanizmem zegarowym: podłożona pod gmach kultury narodowej wybuchnie z całą pewnością w drugim roku, następnie w czwartym, a w roku szóstym dokończy dzieła zburzenia.

T. D.

NAUKA I LITERATURA

NAGRODY

Nagrodę m. st. Warszawy (15.000 zł.) przyznano: w dziale literatury znakomitemu powieściopisarzowi, autorowi „Oziminy", „Próchna", „Żywych kamieni", Wacławowi Berentowi, w dziale sztuk plastycznych zasłużonemu rzeźbiarzowi, twórcy m. in. stacyj Męki Pańskiej na Jasnej Górze, Piusowi Welońskiemu.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Cenną pracę ogłosił Stanisław Srokowski p. t. „Prusy Wschodnie" (Warszawa 1929, nakładem księgarni F. Hoesicka. Wskazując słusznie na „niesłychaną wręcz ignarację w Polsce w zakresie spraw wschodniopruskich", zaznaczając jeszcze słuszniej, iż zagadnienie Prus Wschodnich stanowi „problem, który ze wszystkich, jakie Polska nazewnątrz ma do rozwiązania, jest bodaj najważniejszym", postanowił antor dorzucić ze swej strony garść „nowych danych; zdobytych przez pilną obserwację na miejscu i studja". Oto tytuły rozdziałów: Indywidualność geograficzna Prus Wschodnich; Rzut oka na morfologję powierzchni Prus Wschodnich, Charakterystyka sieci rzecznej Prus Wschodnich i jej znaczenie dla kraju; Trzy ekspansje i Prusy Wschodnie; Enklawa wschodniopruska; kłopoty ekonomiczne Prus Wschodnich i Polskie Pomorze; Królewiec niegdyś a dziś; Elbląg (przeszłość i teraźniejszość); Malborg; Frombork; Olsztyn nad Ryną; Olensberg. Część dotycząca miast wschodniopruskich ozdobiona jest starannie dobremi fotografjami pięknych bardzo, a naogół mało u nas znanych zabytków dawnej tamtejszej architektury.

*

Nakładowa księgarnia K. S. Jakubowskiego we Lwowie w serji prac specjalnych „przeznaczonych dla wyższych studjów polonistycznych i historycznych" m. in. wydała ostatnio W. Taszyckiego: „Wybór tekstów staropolskich XVI—XVIII w." przytoczonych w ich autentycznej pisowni, pozwalających doskonale śledzić rozwój pisowni polskiej od średniowiecznego chaosu graficznego po bezład epoki saskiej. Śród autorów znajdujemy cały szereg mało znanych. Pożyteczny jest H. Ułaszyna „Język starocerkiewno-słowiański" obejmujący zarys gramatyki, odpowiednie ćwiczenia, teksty, z załączeniem słownika.

Obszerna praca prof. K. Tymienieckiego „Społeczeństwo Słowian Lechickich" jest poświęcona historji formowania się pierwocin społeczno-państwowego życia Polski wraz z północno-zachodnią Słowiańszczyzną. Autor skupił uwagę na dwu pojęciach: rodu i plemienia widząc w nich dwa ośrodki ewolucyjne społeczeństwa polskiego.

*

„Pamiętnik Literacki, organ Tow. Literackiego im. Mickiewicza, wydawany we Lwowie pod redakcją prof. Br. Gubrynowicza, w zeszycie I z r. b. zamieszcza dobrą rozprawę A. Drogoszewskiego o „Sybilli" Woronicza, przywracając jej dawne stanowisko w literaturze, zachwiane przez gorliwą „wpływologję". Prof. Stan. Pigoń, zajmujący się gorliwie puścizną po Goszczyńskim, daje „Uwagi o genezie i zakroju Kościeliska", którego poeta nie dokończył, zadawalając się „Sobótką", robiąc z niej odrębną całość. Pozatem mnóstwo przyczynków i sprawozdań.

„Przegląd Współczesny" (Kraków, kwiecień) zamieścił kilka rzeczy literackich: Alfred de Vigny a Polska przez Baldenspergera, Brytanomanja Mickiewicza przez Windakiewicza i trzy referaty z literatury bieżącej Piwińskiego, Kridla i Czachowskiego. Zeszyt zaczyna się od pięknego utworu Kossak-Szczuckiej.

„Przegląd Powszechny" zawiera między wielu innemi artykułami: R. Zawilińskiego. Nowa szkoła w nowej Polsce, C. Stoińskiej. Religijność Mickiewicza, A. Tretiaka rozprawa o Tomaszu Morus (More, XV-XVI w.)

W miesięczniku „Drogi" w nr. 1 i 2 z r. b. Karol Szymanowski ogłasza rozprawę o romantyzmie w muzyce.

*

Zeszyt pierwszy tegoroczny „Oświaty Polskiej" (organ Wydziału Wykonawczego Zjednoczenia Polskich Towarzystw Oświatowych) kwartalnika poświęcowego sprawom oświaty pozaszkolnej, zawiera interesujące i cenne artykuły, oraz wiele materjałów o różnorodnej treści. W artykule wstępnym p. t. „Szkolnictwo dla mniejszości narodowych w Polsce" poseł Jan Kornecki porusza tak aktualną w obecnych czasach kwestję rzekomej krzywdy, wyrządzanej mniejszościom narodowym, przedstawiając jasno i wyczerpująco faktyczny stan całej tej sprawy. A więc przedewszystkiem autor wykazuje, jakie były zobowiązania Polski w stosunku do „mniejszości" narodowych, to znaczy co im zapewniono w Konstytucji polskiej i w Traktacie wersalskim, jak należy rozumieć postanowienia Konstytucji i Traktatu wersalskiego, co daje Polska „mniejszościom",—przechodzi następnie do stanu ilościowego szkolnictwa mniejszościowego w Polsce, przedstawiając cyfrowo z całą dokładnością obecny stan szkolnictwa niemieckiego, ruskiego, białoruskiego, żydowskiego, litewskiego i czeskiego. Przywódcy polityki mniejszości narodowych traktują kwestje szkolnictwa jako zagadnienie polityczne, czego dowodem są przytoczone przez autora dwa projekty ustaw o organizacji szkolnictwa mniejszościowego: 1) żydowski z r. 1923 i 2) ukraiński z 1928 r. Autor wykazuje, że zarówno jeden jak i drugi projekt zmierza do rozbicia jednolitego ustroju szkolnictwa państwowego na szereg oddzielnych systemów szkolnych, narodowościowych czyli do t. zw. autonomji narodowościowo-kultuaralnej. Obydwa projekty nie zasługują na dyskusję w parlamencie polskim, gdyż Państwo Polskie zgodzić się na nie nie może. Zaznaczyć należy, iż artykuł traktowany jest objektywnie i daje rzeczywisty obraz stosunku Państwa Polskiego do potrzeb kulturalnych narodowości niepolskich, wykazując, iż Polska dała mniejszościom" więcej, niż się zobowiązała.

Następny artykuł p. t. „W sprawie akcji wykładowo-oświatowej" p. Józefa Stemlera, dyrektora P. M. S., zawiera cenne uwagi o charakterze informacyjno-instrukcyjnym, dotyczące prowadzenia akcji wykładowo-oświatowej. Autor podaje przedewszystkiem informacje ogólne o wartości nowego systemu akcji oraz omawia szczegółowo w dalszym ciągu artykułu czynniki, niezbędne do jej uruchomienia. Pozatem mnóstwo ciekawego materjału.

Prenumerata roczna „Oświaty Polskiej" wznosi zł. 10. — Adres: Warszawa, Marszałkowska 153.

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Z dotacji pokojowej Carnegiego wydawane są co kwartał w Paryżu grube tomy p. t. *„L'esprit international—The international mind"*. Jak określa dyrektor dotacji N. Murray Butler „duch międzynarodowy jest to przyzwyczajanie do myślenia o stosunkach i sprawach zagranicznych i przyzwyczajenie do traktowania wszystkich narodów jako równych", słowem do jaskrawego zaprzeczania rzeczywistości, potwierdzającej na każdym kroku, iż narody nie są bynajmniej „równe", bowiem różnią się w najwyższym stopniu od siebie poziomem cywilizacyjnym, siłą polityczną i gospodarczą i t. p. W dziale recenzyj zwraca uwagę t. zw. „obiektywne" (pozbawiona jakiejkolwiek konkluzji) zreferowanie dwóch książek niemieckich, podnoszących pretensje niemieckie do polskiego Pomorza. Kierownictwo pisma uważa to najwidoczniej za działalność w interesie pokoju.

*

Pani Lucie Delarue-Mardrus, bardzo uzdolniona współczesna powieściopisarka francuska publikuje *„Hortensia dégénéré"* (Ferenczi édit.). Stary normandzki zamek de Vilenval, otoczony parkiem i stawem, należy do zrujnowanego właściciela, który stał się wieśniakiem, a ze swej córki Henriette, uczynił pastuszkę. W pobliskiej zaś miejscowości Deauville, najmodniejszej plaży, przebywa hr. Arnoult deBeauvesnes w otoczeniu bardzo wesołego towarzystwa. Pewnej nocy, dla zabawy przedostają się do parku i młody arystokrata zrywa tam niezwykle biały kwiat, dzikiej hortensji, który staje się dlań symbolem Henriette. Zaczyna żyć jej myślą, zamierza nawet podnieść z ruin stary zamek. Udaje mu się dostrzec Henriette, króra po kilku *rendez-vous* nie oprze się urokowi swego uwodziciela. Ich schadzki jednak zostaną przerwane przez ojca Henriette, który podejrzewając swą córkę, wychodzi w nocy do parku i strzela poprzez ciemności. Hr. de Beauvesnes ucieka i poślubi piękną Amerykankę. Zachował on jednakowoż kwiat hortensji, który doprowadził go do zamku de Vilenval. Tam dowiaduje się jednakowoż, że właściciel jego umarł, a Henriette utopiła się Wiadomość ta wywołuje na nim tak wielkie wrażenie, że nie chce porzucić brzegów stawu: rzuca doń biały kwiat dzikiej hortensji, poczem słysząc nawoływania zmarłej sam się topi. Dramat ten ma za ramy ziemię normandzką, z której autorka pochodzi, a w której przekazywane są z pokolenia na pokolenie przyjmujące legendy oraz prawdziwe, a niemniej tragiczne zdarzenia.

OFENSYWA

NA MARGINESIE... STATUTU KALISKIEGO

POMÓWIMY tu raz o żydzie-semickim, uznania godnym, choć nie bez zastrzeżeń... a przygodnie i o innych, którzy w latach bieżących zapadają na *Moral in — Sanacy* i parszywieją.

Jest teraz Wystawa Artura Szyka w jakimś takimś dość obskuranckim lokalu, wabiącym się Towarzystwo Szerzenia Artystycznej Kultury. Okropny dom, straszne schody, ale widne sale, a w nich porozwieszane... majstersztyki, nie kramsztyki a majstersztyki.

Byłem na wystawie tego pana Szyka z Paryża. Pochodzi z tej samej Łodzi, z której Artur Rubinstein i Julian Ktuwim (stare piękne hebrajskie słowo, nie należało go skracać). Co tu gadać: wszyscy trzej artyści *di primo cartello*, „wolne duchy" zatem, ale wszyscy głęboko przekonani, że widzą przewcielenie Bolesława Pobożnego i Kazimierza Wielkiego, co to „zastał Polskę drewnianą a zostawił obrzezaną".

Dzieło artystyczne Artura Szyka nie tylko mi zaimponowało, ale szczerym entuzjazmem przejęło. Od modnych i popłatnych formizmów, urbanizmów, merkantylizmów, jakże odbija dzieło Szyka abnegata, ascety, który powziąwszy pewną górną i szczytną ideę potrafił zamknąć się w czterech ścianach i przez dwa lata trudząc się, pracują znojnie po kilkanaście godzin dziennie, dać czterdzieści kilka z niesłychaną pracowitością wykonanych plansz. Ten blady młody człowiek z najbrzydszego na kuli ziemskiej miasta, z *Inferno*, z *Ghetto* rodem, z przedpiekla ludzkiego, bo z Łodzi, Syzyfowo się mozoląc spełnił Herkulesową pracę. Jakiegoż to zaparcia się siebie, jakiego heroizmu trzeba, jakiej zawziętości i pasji, aby tak zrzekając się wspaniale wszystkich sukcesów dnia i mody, tak idąc przeciw wszystkim prądom dzisiejszości, tak odgrodziwszy się od jarmarku *Kunsthaendlerów*, mecenasów, krytyków dłubać, dłubać jako te Hokusaje japońskie wyłącznie *sub specie aeternitatis!* Wyimaginował oto Statut Kaliski Bolesława Pobożnego, nadający Żydom z Zachodu i Chazarom ze Wschodu prawa i przywileje handlowania w Polsce. Tekst wykaligrafowany najmisterniej wedle wzorów medjawalnych, ozdobiony inicjałami i miniaturami z naszego średniowiecza. *Magna Charta* Złota Księga wolności i przywilejów żydowskich, która z Polski zrobiła „*Paradisus Iudaeorum*" i najtragiczniejsze skupienie, najniemożliwiej przeciążony rezerwoar razy żydowskiej przez swój nadmiar również na nędzę wegetacji mas skazanej.

Prawdziwemi majstersztykami są te miniatury wnętrz, składów, sklepów, kantorów, warsztatów, te malenieczkie stylizowane pejzaże z zamkami, kościołami, pałacami, sukiennicami i domkami polskiemi, pełne figurynek misternie mikroskopijnych, wykonanych jakby łapkami krasnoludków czy liliputów.

Gwaszem to wszystko ewokował z budzącym szacunek pietyzmem ten łódzki *enlumineur*... „nasz" Clouet... z epoki dynamomaszynizmu. Może nieco za bogato nazłocił, nasrebrzył, może nieco zawiele „orłami polskiemi" wszelkie altembasy, koncerze i kołpaki naozdobił (ani tak ostentacyjnie i przesadnie orłami wonczas nie brylowano ani też tak z wschodnia, z turecka, z perska, bogatym ówczesny Lechistan nie był). W każdym jednak razie ewokator Statutu naogół zdołał utrzymać wykwintną miarę artystyczną i dał dzieło wysokiej rangi.

Ale jest i skaza, wielka skaza, wielki defekt w tem Cellinowem dziele. I oto w tem właśnie zdradza się i rdza generacji i geneza... łódzka. Ni stąd ni zowąd do dzieła sztuki, mającego dać jaknajbardziej suggestywną wizję średniowiecza, doczepione są jakieś anachronistyczne, zgoła zbyteczne, rażące chwilową trywialnością koncepcji pępowiny... łódzkie. To ten fragment z „rewolucji" (r. 1905) łódzkiej, z szpetnej pamięci walk bratobójczych i rzekomego powstania, przerodzonego w zwykły bandytyzm... no a potem ta dedykacja makaroniczna *ad captandam benevolentiam*. Są to wtręty i interpolacje z motywami ordynarnej nowoczesności, wprost rażące i obrażające. Trzeba się zdumiewać, jak artysta tak anachoretyczny, taki oderwany od środowisk i mentalności mechesów, meteków, „Pollaków" stuprocentowych, wassercugantów, tak okazał się uległym przemijającej *folie* czy *rabies furibunda* budapesztenskiego w stylu żydostwa warszawskiego, rzucającego kwiaty pod kopyta. Już zdawało się że pan Artur Sztyk to czystorasowy, niepstrzony i niemaskowany semita. Ta dedykacja i ta plansza z r. 1905 atoli, to może „ludzkie, arcyludzkie", ale to także „łódzkie, bardzo łódzkie"...

Szkoda, że dzieło rzetelnej sztuki, mające być szlachetnym hołdem wdzięczności gości dla gospodarzy, zostało obciążone balastem godnym Jellentów i t. p. *bagage*.

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Jak donoszą dzienniki, na „herbatce" dn. 16 b. m. u p. min. Piłsudskiego, były prezes ministrów, prof. dr. Bartel oświadczył, co następuje:

„Służymy wszyscy sprawie publicznej pod rozkazami pana marszałka, pod jego przewodnictwem, i życzenia twoje, panie marszałku, były dla nas zawsze świętym rozkazem, powiadam świętym, gdyż odnosimy się do ciebie, jako do wodza narodu, z pełnem nabożeństwem".

Tyle mówiono o prof. dr. Bartlu, jako o najdoskonalszym, stuprocentowym „wolnomyślicielu" w stylu „Epoki"! A tymczasem okazuje się, że i jego stać chwilami na „nabożność", co tu gadać, poprostu na bigoterję! „Świętość", „nabożeństwo"?...

*

„Sanacyjny" „Kurjer Poranny" pisze o zmianie rządu:

„Cały szereg ministrów, z których żaden nie ma skłonności Heroda, Nerona czy Marata, pozostaje na swoich stanowiskach".

Zastanawiające jest, iż prasa „sanacyjna" uważa za konieczne w ten sposób uspokajać opinję publiczną, takie rozpraszać obawy.

*

Wyjątek z przyszłych encyklopedyj:

„PUŁKOWNIK — oznacza przynależność do grupy politycznej o zdecydowanym programie, stojącej na stanowisku radykalizmu, umiarkowania społecznego, parlamentaryzmu i dyktatury. Także zdolność do obejmowania stanowisk kierowniczych w życiu państwowem, zwłaszcza resortów ministerjalnych t. zw. fachowych. Dawniej mianem tem nazywano dowódców większych oddziałów wojskowych (pułków)".

*

Jak tanie są nastroje reklamowe i wielkie słowa nie tylko przy filmach, ale i w literaturze i w polityce, mamy dowód w publicystyce „sanacji" i w krytyce obozu lewicowego. Czytaliśmy, co pisano tam o Kaden-Bandrowskim, a teraz z powodu „Samuela Zborowskiego" F. Goetla p. W. Horzyca pisze w „Przełomie" (nr. 10): „I sprawia Goetel, że przez chwilę gardzimy tą kolumną dostojeństwa, jaką wydaje się być Zamoyski, a sercem jesteśmy przy Zborowskim, prostym człowieku (?), takim jak tysiące, miljony (?)... Ustami Zborowskiego została wypowiedziana wielka prawda, wielka idea Goetla" i t. d. I dlatego dzieło Goetla... sygnalizuje przemianę, od której zatrzęsą się posady literatury i życia polskiego". „Nie jedyny to zresztą znak na ziemi i niebie (?), iż zbliża się chwila" ludzi prostych. „O miejsce dla tych właśnie ludzi prostych... upomina się autor"... Czyżby istotnie Goetel miał na myśli przewrót komunistyczny? Nowina to literacka zaiste, że Samuel Zborowski to człowiek prosty i że takich są miljony. Bardzo to charakterystyczne znaki w organie najściślejszego koła piłsudczyków.

*

Z Chełma nadeszła hiobowa wiadomość, że wielkie budowle gmachów dyrekcji kolejowej tam wznoszone, pękają i grożą zawaleniem. Ministerjum kolei — piszą dzienniki — zapewnia, że skarb nie poniesie strat, za które odpowiada przedsiębiorca. Pociecha względna. Tak czy owak czyjeś miljony i wielką pracę rzucono w błoto. Czy kolej nie ponosi odpowiedzialności za zły dozór? Czy niezamożna Polska myśli marnować w ten sposób swój majątek? O to samo zapytuje kraj z powodu radosnej twórczości p. Miedzińskiego. Skąd będziemy brali na taką zabawę pieniadze?

*

P. Aleksander Lednicki pracuje ostatnio w geszeftach „zbliżenia" polsko-węgierskiego. Czytamy bowiem w „Epoce":

„Dn. 14 bm. o godz. 5 pp. towarzystwo polsko-węgierskie im. Stefana Batorego urządziło w salach restauracji „Polonja" herbatkę towarzyską, która miała na celu wzajemne poznanie się członków i sympatyków towarzystwa polsko-węgierskiego. Na herbatkę przybyli charge d'affaires poselstwa węgierskiego p. Balasy, atache wojskowy maj. Andorka, a także liczne grono osób ze sfer społecznych, naukowych, literackich i towarzyskich stolicy, m. in. rektor ks. Radziszewski, rektor Przychocki, p. Aleksander Lednicki, b. min. Simon, dyr. Skotnicki i inni. Funkcje gospodarzy pełnili uprzejmie prezes tow. polsko-węgierskiego inż. Krzemiński i prof. Adorjan Diveky. Zebranie w miłym nastroju przeciągnęło się do wieczora.

Pan inżynier Krzemiński był ongiś właścicielem kina „Colosseum" i t. p. Ostatnio zajmował się sanacją piwnicy i interesów prastarej firmy Fukier. Stąd ten cały kierunek polityczny, który od wczoraj zyskał sobie protektora i w rządzie ma zapach conieco...omszałych butelek starego tokaju a conieco...

Wnet dowiemy się jaki.

NOWE KSIĄŻKI

Bartoszewicz Joachim. Zagadnienia polityki polskiej. Warsz. 1929. Tow. Wyd. Patria. Z funduszu im. Zbigniewa Paderewskiego. Skład główny w księgarni Zakładu Narodowego im. Ossolińskich. Str. 152.

Swiętochowski Aleksander. Nałęcze. Powieść. Warsz. 1929. Księg. Trzaska, Evert i Michalski.

Sten Wiesław (Stefan Wolski). Sapere ausuris. Tym, którzy będą mieli odwagę wiedzieć. Studjum biblijne. Tom I. Warsz. 1929. Nakładem autora. Str. 280 i atlas z 239 rys.

Księgarnia Gebethnera i Wolffa wydali:

Rymkiewicz Władysław. Pan swego życia. Nowele.

Goetel Ferdynand. Samuel Zborowski. Sztuka histor. w 6 odsłonach.

Krasińska Marta. Wolny ptak. Powieść.
Kozłowski Jerzy. Ceglany dom. Powieść.
Szpotański Stanisław. Prometeusze. Powieść historyczna.

Księgarnia św. Wojciecha wydała powieści:

J. O. Curwood'a w przekładzie Jerzego Marlicza: Łowcy wilków, Łowcy złota, Władca skalnej doliny, Włóczęgi północy i Najdziksze serca.

Nakładem Tow. Wyd. „Rój“ wyszły powieści:

Wallace Edgar. Łowca głów.
„ „ Romans z włamywaczem.
Michaelis Karin. Niebezpieczny wiek.
Marczyński Antoni. Aloha.
Verona Gnidoda. Kobieta która wymyśliła miłość.
Dostojewski Teodor. Młodzik.

Tow. Wydawnicze „Rój“ wydało:
Marczyński Antoni. Ostatnia torpeda. Powieść.
Undset Sygfryda. Krystyna córka Lawransa. Żona. Przekład Wandy Kragen.
Dostojewski Teodor. Wspomnienia z martwego domu.
Krzewiński Juljan. Szampańskie życie. Powieść. (Cz. II Baletnicy).
Michaelis Karin. Spowiedź kobiety.
Locke W. J. Kochany łazik.
Erenburg Ilja. Rwacz. Powieść.
Bibljoteczka histor.-geograficzna nr. 112 — 116 (4 tomiki).
Grossek-Korycka Marja. Wieszczka. Poezje. Warsz. 1929. K. Wojnar. Cena zł 3.
Miłaszewska Wanda. Księżniczka Dagny. Romans. Warszawa 1929. F. Hoesick.
Kornecki Jan. Szkolnictwo dla mniejszości narodowych w Polsce — Odbitka z „Oświaty Pol.“ Warsz. 1929. S.32.
Breyer Stan. dr. med. Zagadka człowieka. Kraków 1929. Skład gł. u Geb. i Wolffa. S. 72.
Boy-Żeleński. Dziewice konsystorskie. Warsz. 1929. Księg. Robotnicza. S. 82.
Ogonow-Ganowicz Czesław. Wedy. Część trzecia. Ewangelje. Poznań 1929. Księg. Św. Wojciecha S. 58.
Opleński Henryk. *La masique polonaise.* Paris 1929. Gebethner i Wolff. S. 121. (Cena fr. 7.50).
Pollak Józef. Zbłąkany pielgrzym. Powieść. Warsz. 1929. Dom Książki Polskiej.

Przypominamy, że czas odnowić prenumeratę na kwartał II-gi.

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 25-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr 17, 2-gie piętro. Tel. 12-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie 17, rocznie zł. 32, za granicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P.K.O. 3.105

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI — Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI

Druk. A. Michalskiego, sp. z o. o., Chmielna 27. Telefon 27-15. — PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM